

magazyn pism związkowych i zakładowych



Poznań, 9 grudnia 1981

AGENCJA PRASOWA

ANDRZEJ KRZEPKOWSKI

STRAJKI I PERSPEKTYWY

(...) Z trybuny IV i V plenum wylewano kubki pomoy na Związek i po raz nie wiadomo który usiłowano brutalnie zastraszyć społeczeństwo.

Bądźmy sprawiedliwi i postarajmy się zrozumieć „nasze” władze. Przecież ci ludzie reprezentują sam wierzchołek nader licznej i rozbudowanej nomenklatury partyjnej. A wszakże nomenklatura ma bardzo dużo do stracenia! Policzym: ciepłe posady, darmowe apartamenty, dache, luksusowe samochody, obfite i smaczne wyżywienie bez kartek, zabezpieczony byt dla siebie, swoich najbliższych i protegowanych; no i jeszcze wiele, wiele innych apañaży...

To wszystko zapewnia nomenklaturze system polityczno-społeczny, który nadal trwa w naszym kraju.

I wiadomo — dopóty, dopóki system trwa, nomenklatura opływa jak pączek w masle.

Ale zarazem — dopóty, dopóki system trwa, my, szarzy obywatele będziemy stali w tasiemcowych kolejkach, będziemy nie dojeżdżać, będziemy źle mieszkać, będziemy całą naszą energię i siły twórcze obracać na starania o drobniaki niezbędne do codziennego życia. Ba — nigdy z tej nędzy się nie wygrzebamy.

Żeby zmienić coś na lepsze, musimy system totalitarny zmienić na system samorządowy. My mamy do stracenia nasze kolejki, nasze zdarte buty, nasze zmęczenie i naszą rozpacz. A oni — o tyle, tyle więcej... A więc bądźmy sprawiedliwi i postarajmy się „nasze” władze zrozumieć; teraz już wiemy, dlaczego one tak się boją tej zmiany!

Wiadomo, człowiek przestraszony, ma, jak to się mówi, „rozum w portkach” i nieraz plecie od rzeczy.

A więc bądźmy sprawiedliwi i zrozumieć zechcemy kierujących propagandą. W prasie, radiu i telewizji krzyczy się głośno: „Co nam dają strajki? Strajki rujnują gospodarkę! Strajki pogłębiają kryzys! Strajki wydłużają kolejki! Od strajków nie przybędzie mięsa!”. A zatem krzyczy się to samo, co w trakcie Wielkich Strajków sierpniowych. Tymczasem w ZM „Ursus” 28.10.1981 roku, a więc w dniu „strajkowym” wy-

produkowano więcej ciągników, niż w poprzednim. Poważny pan w telewizorze wylicza, ile to rajstop czy innych majtek straciło społeczeństwo przez godzinę przestoju przemysłu tekstylnego. Ogromna to, zaiste, liczba! Inny pan biadoli, że nie uzyskamy tyłu to, a tyłu par obuwia. Wynika z ich wypowiedzi, że w ciągu godziny produkujemy olbrzymie ilości majtek, rajstop i butów, tak olbrzymie, że panie mogą się ubrać od spodu jak cebulki, a wszyscy możemy kupować buciurów od groma, a jeszcze psioczyć przy tym i wydziwiać na kolor, fason i wykończenie...

Jeśli tyle produkujemy, to gdzie wszystko, na miły Bóg, się podziewa?! No i jak wytłumaczyć, że od razu zabrakło nie tylko mięsa, ale i butów, i mydła, i rajstop, i w ogóle wszystkiego? Jeżeli tyle produkujemy, to przecież gdybyśmy strajkowali nawet dziesięć razy więcej niż obecnie, to i tak mielibyśmy jeszcze po uszy i butów, i majtek... A może tyle nie produkujemy, bo nasz system gospodarczy jest od wielu, wielu lat do chrzanu i tym wszystko należy tłumaczyć? No więc, jak to jest naprawdę, mądrzy i poważni panowie z telewizji?

Właśnie, tu jest pies pogrzebany! Kiedy Związek zwrócił się do władz z postulatem powołania społecznej rady gospodarczej, która miałaby kontrolować żywność i produkty przemysłowe, rząd zareagował na to, jak diabeł na święconą wodę.

To jak to właściwie jest, proszę kochanej władzuni? Znaczący się Gierek i jego dworzanie byli złodziejami, a obecna ekipa jest uczciwa jak kryształ? W porządku, być może, ale społeczeństwo chce się o tym przekonać kontrolując dystrybucję i produkcję. No bo mało jest już frajerów, którzy jakiegokolwiek władzy uwierzą na słowo. Ludzie pamiętają rok 1956 i 1970 i po raz trzeci nie dadzą się wykołegować. Powiada się jeszcze, że polityka strajkowa czyni wielkie spustoszenie moralne. Dobrze, ale gdzie byli ci panowie — moralizatorzy w poprzednich latach? A kto rozpijał nasze społeczeństwo? Kto poprzez odgórnie narzucaną ateizację i administracyjne szkany usiłował zniszczyć religię? A kto burzył i zrywał więzi międzyludzkie, napuszczał kolegę na kolegę, sąsiada na sąsiada, robotnika na chłopca, „fizycznych” na inteligencję? Kto ogłupiał i demoralizował naszą młodzież? No kto, proszę szanownych panów, kto, pytam? Może Pszczółka Maja? A może ksiądz proboszcz z Kaczych Kupek?

No i nikt już nie uwierzy, że jeśli będziemy cisi, pokorni i zaczniemy pracować bez strajków, to wszy-

stko się polepszy. Bo przecież to oznaczałoby twierdzenie, iż w Polsce dlatego źle się dzieje, że robotnik nie chce pracować. Stawiając sprawę w ten sposób, powiela się antypolskie wypociny Fryderyka Wielkiego, Bismarcka i innych wrogów naszego narodu.

Każdy z nas zdaje sobie doskonale sprawę, że nie nie pomoże nasz wysiłek produkcyjny, jeżeli pozostanie żył system gospodarczo-polityczny. System oparty na nomenklaturze partyjnej, na nakazowo-rozdzielczym zarządzaniu gospodarką, na dominacji ideologii wobec ekonomiki — tak system przeżył się i nieuchronnie musi zepchnąć społeczeństwo w jeszcze większą nędzę. Spójrzmy na Rumunię. Tam przecież nie było masowych strajków; tam nie istnieją masowe wolne związki zawodowe. A jednak w tej Rumunii chleb i mąka są na kartki, a po inne produkty trzeba stać w kilkusetosobowych ogonkach, bez gwarancji, że się cokolwiek dostanie. Coraz gorzej dzieje się w Bułgarii, a także u naszych południowych sąsiadów. To prawda, jeśli przekroczy się granicę czechosłowacką może wydać się, iż otwarto przed nami bramy raj. Lecz złudne to, zaiste, wrażenie! W CSSR zaczyna brakować określonych asortymentów mięsa, pojawiają się już kolejki. (Słyszałem, iż tamtejsza propaganda obwinia za to... Polaków).

A przecież Czechosłowacja wyszła z wojny z przemyśle, który nie tylko że ocalał od zniszczeń, ale co więcej — został jeszcze przez Niemców rozbudowany. W 1945 r. Czechosłowacja dysponowała sprawnym, nienaruszonym potencjałem produkcji który był wówczas największy w Europie! Gdyby nie wadliwy system polityczno-gospodarczy, kraj ten powinien już dawno osiągnąć poziom RFN, albo Szwecji.

Związek „Solidarność” jako największa, autentyczna organizacja społeczna w Polsce postawił sobie na najbliższą przyszłość następujące zadania:

- poprawę wyżywienia narodu (kontrola nad produkcją i rozdziałem żywności)
- zapewnienie praworządności
- dostęp do środków masowego przekazu.

Tymczasem władza broni swoich pozycji, nie licząc się z dążeniami społeczeństwa. Zarówno ogólnopolski strajk ostrzegawczy, jak również Żyrardów, Zielona Góra czy Tarnobrzeg, były sygnałami wzywającymi

d.c. na str. 2

PO CO BĘDZIESZ STRAJKOWAŁ STOCZNIOWCU?

Co Ci strajk ma dać? Przecież już wszystko otrzymałeś w sierpniu 1980 r. Dostałeś podwyżkę, nowe związki zawodowe, 3-ch sekretarzy i 3-ch premierów w między czasie. Czy to jest mało? Chciałbyś może udziału w rządzie?

Pomyśl, czy umiałbyś to zrobić. Któż może lepiej wyprowadzić ten kraj z drobnych — chwilowych trudności niż Ci co te trudności spowodowali. Oni i tylko oni wiedzą jak się to robi, to znaczy jak najpierw rozłożyć a potem złożyć to rozłożone do kupy.

A ty stoczniovcu wierzysz, że im się to uda? Już kilka razy w naszej historii rozkładali i składali i jakoś im się udawało.

Uda się i teraz. Tylko ty nie przeszkadzaj, nie pchaj się do pomocy. Rób co ci się każe i pomyśl, że twoje dzieci będą czekały na mieszkanie tylko około 25 lat, no może 28 i pewnie czas im szybko zleci, bo w kolejkach nie jest nudno, ktoś się pokłóci, ktoś opowie kawał — będą mogły posłuchać o jakiejś Kampucy czy Etiopii. I nawet przyjemnie im będzie, że mogą stać w kolejce po coś, gdy tam nawet kolejek nie ma — bo do czego. Tak więc nie strajkuj i nie protestuj. Od tego chleba nie przybędzie i nic nowego się nie stanie.

Tylko sobie zaszkodzisz. Nikomu więcej.

Jeśli masz złudzenia, że ktoś u góry zechce ustąpić tobie kawałek władzy ze swojej działki, to się ich pozbydź. Nic z tego. Tobie władza jest niepotrzebna —

masz ją przecież. Jesteś władzą z założenia „władzę w naszym kraju sprawuje klasa robotnicza w sojuszu z chłopstwem”.

To chyba jasne, no nie? O co więc chodzi?

Jak będziesz ładnie pracował to nasza władza będzie miała trochę więcej pieniędzy i może kupi film fantastyczno-naukowy i pokaze w telewizji. Zobacysz sklepy z pełnymi półkami towarów różnych, nawet z mięsem i kielbasą. W komentarzu dowiesz się, że możliwości naszych układów są tak wielkie, iż ta fantazja spełni się być może nawet w naszym kraju — w jakimś 21 lub 22 wieku. A może wcześniej jak dobrze pójdzie.

Jeden mądry przywódca glosił, że zjadają nasz kraj konie i dzieci. I to jest prawdą. Nie ma dzieci — nie ma dorosłych — nie ma dorosłych nie ma strajków, kolejek i paskudnych klientów.

Wtedy dopiero władza pokaze jak można pięknie rządzić takim krajem. Tylko, że jak zabraknie dorosłych to może i władza nie będzie potrzebna no bo do czego? A więc nie strajkuj stoczniovcu, tak będzie lepiej za 50 lub 100 lat.

PAT

„Wiadomości” nr 42/67/81
Stocznia Północna im. Bohaterów Westerplatte
Gdańsk, 2.XI.81.

nizacyjnych w ogniwach Związku („Goniec” 41-44, 46, 50, 51).

Teza 21 Programu Związku zawiera również lapidarnie sformułowany zapis odnośnie zastąpienia dotychczasowej fasadowej roli rad narodowych dla organów terenowej administracji państwowej faktycznymi kompetencjami w zakresie decydowania o sprawach lokalnych, popartymi samodzielnością finansową. Dotychczas jednak nie przedstawiono żadnych w zasadzie propozycji rozwiązań prawnych statusu i zasad działania organów samorządu terytorialnego. Nie jest nim ogólnikowy i nieśmiały projekt, zawarty w rozdziale VI-tym przytaczanej na naszych łamach „Propozycji stanowiska NSZZ Solidarność w sprawie reformy gospodarczej”, opracowanej przez „Sieć” („Goniec” 46). Nie są nim oczywiście także „Założenia do projektu ustawy o radach narodowych”, opracowane przez zespół Rady Państwa, będące tylko kosmetyką rozwiązania dotychczasowego.

SKALA TRUDNOŚCI

Brak propozycji w tej sprawie wynika przede wszystkim ze skali trudności przedsięwzięcia. Powojenne prawodawstwo polskie stanowi tutaj znakomity przykład ewolucji wstecznej. Ustawa o radach narodowych z 1944 roku, oparta na wzorach przedwojennych, dawała jeszcze radom pewne możliwości podejmowania decyzji w kwestiach większej rangi, niż nazwy ulic. Kolejne nowelizacje ustawy (1950 i 1958) spowodowały całkowitą utratę samodzielności i zażalenie zakresu uprawnień, zgodnie zresztą z intencjami prawodawców.

Wypracowanie całościowej koncepcji kształtu nowej ustawy o radach narodowych (do czego Zjazd zobowiązał Komisję Krajową w nierealnym terminie do końca roku) musi zostać poprzedzone możliwie szerokim przeglądem rozwiązań obcych, szczególnie zachodnich, a także węgierskich. Kolejnym etapem winno być zestawienie wniosków płynących z tego przeglądu z listą uwarunkowań polskich, sporządzoną równoległe, wynikającą z założeń innych rozwiązań prawnych aktualnie przygotowywanych. Z uzyskanego kontekstu wyłoni się zapewne ów oczekiwany „polski model” samorządu terytorialnego.

KIERUNKI POSZUKIWAŃ

Uważna lektura obecnej ustawy o radach narodowych (z 25.01.1958, z późniejszymi zmianami) pozwala stwierdzić, że nie może ona stanowić materiału wyjściowego do „poprawiania”. Prowadzi jednak do postawienia kilku problemów, które mogą przybliżyć kierunki poszukiwań.

Podstawowym problemem jest kwestia sformułowania jednoznacznej definicji rad narodowych. Definicja nie może pozostawiać wątpliwości, że ich główną właściwością — jako organu samorządu terytorialnego — jest sprawowanie władzy w imieniu wyborców. Dotychczasowe określenie (art. 1, ust. 2 ustawy) sugeruje, jakoby funkcje „organu władzy” i „organu samorządu społecznego ludności” były z niewiadomego powodu rozłączne.

Inną sprawą jest wyznaczenie zakresu działania organów samorządu terytorialnego poszczególnych szczebli oraz sprecyzowanie uprawnień decyzyjnych w wyznaczonym zakresie. Należy ściśle rozdzielić zakres kompetencji rad narodowych i terenowych władz administracyjnych, a także wykluczyć możliwość ingerencji władz administracyjnych w decyzje organów samorządu terenowego. Decyzje te, podjęte w ramach wyznaczonych uprawnień stają się prawem lokalnym.

Powyższa kwestia wywołuje problem kolejny: opracowanie logicznej konstrukcji prawnej w zakresie podległości terenowych organów administracji państwowej organom samorządu terenowego (parlamentom lokalnym). Dotychczasowe machinacje legislacyjne doprowadziły do powstania układu, w którym organ wykonawczy (wojewoda, prezydent — powoływani przez Prezesa Rady Ministrów w oparciu o „opinię” rady narodowej) posiada praktycznie nieograniczoną władzę nad organem stanowiącym (?!), jakim winna być rada narodowa.

Problem nadzoru nad działalnością rad narodowych poszczególnych szczebli wydaje się dość jasny:

- a) nadzór polegać winien na kontroli zgodności decyzji rad z prawem;
- b) rady szczebli niższych podlegać będą radom szczebla bezpośrednio wyższego, a wojewódzkie rady narodowe — Sejmowi (Radzie Państwa).

Dotychczasowy zapis, określający nadzór jako „kontrolę zgodności z prawem i zasadniczą linią polityki Państwa” jest oczywiście nie do przyjęcia.

Samodzielność rad narodowych w działalności gospodarczo-budżetowej wymaga kilku pościagnięć:

— nadania osobowości prawnej organom wykonawczym,

— zapewnienie pełnej samodzielności w tworzeniu przedsiębiorstw i innych form wykorzystywania budżetu lokalnego,

— ustalenia listy przedsiębiorstw komunalnych, podległych bezpośrednio radom narodowym.

Uprawnienia ustawowe rad narodowych w tym zakresie powinny być elastyczne.

Wreszcie jawi się trudny problem mechanizmów oddziaływania organów samorządu lokalnego na działalność gospodarczą przedsiębiorstw nie podlegających im bezpośrednio. Należy tu znaleźć sposoby nie ograniczające samodzielności merytorycznej rad pracowniczych przedsiębiorstw, a podstawowym z nich będą zapewne podatki i inne płatności, jako forma nacisku ekonomicznego.

I na koniec — samorzady mieszkańców (osiedlowe zebrania mieszkańców, komitety osiedlowe, obwodowe i domowe). Należy tutaj znaleźć całkowicie nowe rozwiązania, ponieważ obecnie (art. 82 ustawy):

— „kształtują one wraz z samorządowymi organizacjami społecznymi socjalistyczne stosunki współżycia w miejscu zamieszkania”,

— a także „zgodnie z programem socjalistycznego rozwoju kraju realizują w trybie społecznym zadania związane z poprawą warunków bytowych i kulturalnych życia mieszkańców” (!), w dodatku „pod ogólnym nadzorem rad narodowych i komitetów Frontu Jedności Narodu”.

Powyższa lista problemów nie jest z pewnością wyczerpująca, wykazuje jednak pilną konieczność podjęcia prac nad sformulowaniem tezy do ustawy o radach narodowych, które można by poddać pod społeczną konsultację.

„Goniec Małopolski” nr 50. Kraków, 3.XI.81

ZBIGNIEW TARKOWSKI

CZYTANIE STATUTU

Prawo do strajku

(...) Statut w rozdziale VI wypowiada się o strajku następująco: „Po wyczerpaniu innych form działania Związek może podjąć akcję strajkową”:

1) Strajk może być strajkiem ostrzegawczym lub strajkiem właściwym:

a) w przypadku, gdy okoliczności na to zezwalają strajk właściwy należy poprzedzić strajkiem ostrzegawczym,

b) strajk ostrzegawczy nie powinien trwać dłużej niż połowę dnia pracy,

c) strajk właściwy trwa do chwili, gdy odpowiednie władze związkowe ogłoszą jego zakończenie. Zakończenie strajku może być przedmiotem porozumienia z pracodawcą lub władzami państwowymi.

2) Jeżeli przyczyną strajku jest konflikt w jednym zakładzie pracy, strajk może być ogłoszony tylko na wniosek uchwalony przez bezwzględną większość członków organizacji zakładowej Związku.

3) W przypadku, gdy przyczyną strajku są okoliczności inne niż wymienione w ust. 2, decyzję o jego podjęciu podejmuje zarząd organizacji regionalnej, określając jednocześnie zasięg strajku.

4) Zastosowanie represji w stosunku do władz Związku, uniemożliwienie jej tą drogą podjęcia stosownej decyzji upoważnia załogi zakładów do podjęcia natychmiastowej akcji strajkowej.

5) W przypadku, gdy ogłoszenie strajku w jednym zakładzie nie przynosi rezultatu, władze związkowe mogą ogłosić strajk solidarnościowy.

6) Powyższe postanowienia nie mają zastosowania do pracowników zakładów, które z uwagi na pełnione funkcje nie mogą strajkować. Dla poparcia ich żądań może być ogłoszony strajk solidarnościowy”.

(...) Strajk jest środkiem ostatecznym i jako taki powinien być użyty, gdy zawiodą środki pojednawcze, zawsze jednak zgodnie ze Statutem. Jest to założenie podstawowe, bezsporne i nie podlegające już dyskusji. Kto usiłuje łamać postanowienia Statutu, ten działa na szkodę Związku. Podważanie lub pomijanie zasad statutowych jest na ręce pracodawcy i to z wielu powodów. Przeprowadzenie strajku niezgodnie ze statutem daje podstawy do uznania go za nielegalny. Pracodawca może wtedy wstrzymać pobory za okres strajku. Strajk wywołany na „dziko” stwarza doskonałą okazję do ataku propagandowego na cały Związek, poróżnienia jego członków oraz poderwania autorytetu jego władz.

Strajk jako forma działania winien być zaakceptowany przez „bezwzględną większość” członków organizacji zakładowej Związku” (ust. 2) oraz uzgodniony z władzami Związku odpowiedniego szczebla (ust. 3). W praktyce zachodzi zazwyczaj konieczność łączenia tych zasad, ponieważ strajk ograniczający się do jednego zakładu pracy jest czymś wyjątkowym. Na ogół inicjująca strajk załoga stara się zwiększyć presję na pracodawcę poprzez uzyskanie poparcia w postaci akcji solidarnościowej zorganizowanej przez załogi innych zakładów pracy. Te mogą poprzez żądania strajkujących kolegów, ale kto ma podjąć decyzję o strajku solidarnościowym: załoga, komisja zakładowa, władze regionu? Odpowiedź nie jest wcale prosta. Istnieje kilka wariantów uzgadniania w tej sprawie decyzji. Statut mówi wyraźnie (ust. 5), że strajk solidarnościowy ogłaszają władze Związku, czyli Komisja Zakładowa władze regionu. Może się zdarzyć, że przedstawiciele Komisji Zakładowych oraz przedstawiciele władz regionu zajmą odmienne stanowisko w kwestii celowości i zasięgu strajku.

Załogi wysuwają słuszne (niespełnione) żądania a zarządy Komisji Zakładowych podejmują w ich imieniu decyzję o strajku. Natomiast przedstawiciele władz regionu uważają, że ze strajkiem należy się wstrzymać, gdyż w obecnej sytuacji byłby on błędem z punktu widzenia aktualnych nadrzędnych celów polityki Związku. Czyje wówczas uznać racje za ważniejsze? Na pewno każdy przypadek sporny można dyskutować osobno ale chodzi przecież o przyjęcie ogólnych zasad postępowania.

W moim przekonaniu, gdy strajk wychodzi poza obręb jednego zakładu, decyzję o strajku solidarnościowym powinny podejmować zarządy regionu lub zarząd jego oddziału wojewódzkiego. Władze te wstępują wtedy w roli koordynatora akcji strajkowej: określają jej zasięg, ogłaszają i odwołują strajk. Są też odpowiedzialne za przebieg i efekty rokowań z przedstawicielami pracodawcy. Władze regionu mają też obowiązek przeciwstawić się ogłoszeniu strajku w chwili gdy przeczy on nadrzędnym interesom Związku. Jego ogólne cele mogą być niezgodne z interesem organizacji zakładowej organizacji związkowej lub jego działaczy. Sprzeciwienie się akcji strajkowej nie podważa bynajmniej zaufania do bojowości władz Związku. Wręcz przeciwnie, świadcząc może właśnie o ich odwadze i odpowiedzialności za losy Związku.

(...) Taką niepopularną decyzją, niezgodną z do-różnym interesem załóg ale korzystną dla perspektywicznych interesów całego Związku, muszą podejmować czasami zarządy regionalne lub zarządy ich oddziałów wojewódzkich. Ich decyzja powinna być przyjęta ze zrozumieniem i być uznana przez wszystkich członków za ostateczną i wiążącą.

Strajk jest wymierzony w pracodawcę. To znaczy dokładnie w kogo? W dyrektora, wojewodę, sekretarza pracy. Trudno o precyzyjną odpowiedź, ponieważ nasi nieokreśleni indywidualni pracodawcy nie ponoszą w zasadzie w wyniku strajku żadnych osobistych strat materialnych. Być może dlatego przeciągają oni często rokowania strajkowe, nie wywiązują się z przyjętych zobowiązań, wykazują małą troskę o to, aby do strajku w ogóle nie dochodziło. W naszym kraju w systemie dominującej społecznej własności środków produkcji, strajk bardziej godzi w interes społeczny niż w interes pracodawcy. „Straty pracodawcy z tytułu strajku są bowiem zarazem stratami społecznymi. Dlatego też prawo do strajku nie może być prawem nieograniczonym. Z drugiej strony, co należy podkreślić z całym naciskiem, również w interesie społecznym leży stworzenie realnych możliwości korzystania z tego prawa.

W porozumieniu Gdańskim przyrzeczono, że „prawo do strajku będzie zagwarantowane w przygotowanej ustawie o związkach zawodowych „która powinna

określić warunki proklamowania i organizowania strajku”.

(...) Przedstawiciele „Solidarności” opiniujący projekt założeń ustawy o związkach zawodowych zadbały o to, aby przepisy regulujące prawo do strajku nie były nadmiernie sformalizowane i nie ograniczały działania Związku.

Wprowadzone do tego projektu przez Radę Państwa jednostronne zmiany które ograniczają prawa związków zawodowych spotkało się, jak wiemy ze zdecydowanym sprzeciwem I Krajowego Zjazdu Delegatów „Solidarności” który wyraził swoją dezaprobatę w podjętej uchwale.

Kwestią do końca nie rozstrzygniętą jest apolityczny-polityczny charakter strajku. W moim odczuciu kwestia ta jest częścią składową szeregu problemów, a mianowicie problemu apolitycznego — politycznego oblicza Związku. Bardzo trudno wyznaczać granicę pomiędzy działaniem (strajkiem) o charakterze związkowym i niezwiązkowym. Przystępując do formułowania — podejrzewam, że bardzo rozbudowanych a przez to mało precyzyjnych — definicji pojęć „polityczny-apolityczny”, należy zadbać przede wszystkim o to, aby powołany został równocześnie posługującymi się tymi pojęciami, nie zawiśle działający system rozstrzygania sporów zbiorowych. Wprowadzenie tego systemu (a nie igraszki słowne) ma dla naszego państwa kapitalne znaczenie. ■

„Solidarność Zagłębia Miedziowego” nr 39
Legnica, 16.X.81

PAWEŁ P. POLEĆ

JA NIENAWIDZĘ SOLIDARNOŚCI...

„Ja nienawidzę „Solidarności”...” Tymi słowami zaczął rozmowę z mną żołnierz służby zasadniczej. Młody, 20-letni chłopak. Zapytany czy zetknął się bezpośrednio z „Solidarnością”, odpowiedział że nie. No bo i jak miał się zetknąć, skoro blisko dwa lata jest już w wojsku, o kilkadziesiąt kilometrów od swoich rodzinnych stron. Opowiadał, że to „Solidarność” powoduje w kraju ciągle niepokoje, że to „Solidarność” jest przyczyną kryzysu.

No cóż, dziwić się nie można. Więcej nawet — dziwne byłoby, gdyby człowiek zamknięty w koszarach od początku istnienia naszego Związku wiedział więcej, lub wiedział inaczej. Natomiast jest to bardzo przykre. Przykre, że to młode pokolenie ludzi wychowuje się w duchu nienawiści do rodziców, rodzeństwa, najbliższych. W nienawiści do całego narodu. Przykre, że młode pokolenie jest wychowywane przez Ludowe Wojsko Polskie w duchu nienawiści do Ludu. Bo przecież „Solidarność” to lud. To znaczna większość całego narodu. Zapytać ktoś może, czy rzeczywiście 10 milionów, to większość 36 milionowego kraju. Tak, to jest większość. Bo wszyscy mają rodziny, w których przynajmniej po jednej osobie nie należy do naszego Związku — nie należy, tylko dlatego, że nie pracuje zawodowo. Ale przecież ci niepracujący członkowie naszych rodzin są z nami! Są z Solidarnością! Dlatego przykre i przerażające jest to, że 20-letni żołnierz mówi: „ja nienawidzę Solidarności”. Czy jeśli jego ojciec, brat — są członkami naszego Związku, też powie im: „nienawidzę was, bo jesteście członkami Solidarności”? Niestety, Ludowe Wojsko Polskie w tym duchu go wychowuje! W ten właśnie sposób władcy PRL hasło „wojsko z ludem” zmieniają na „wojsko przeciw ludowi”. Czyje interesy w ten sposób chcą ocalić? Czy rzeczywiście ludu? I dlaczego w tej sytuacji to wojsko ma w nazwie słowo „Ludowe”? ■

„Solidarność Słupska” nr 13, Słupsk, 23.X.81

LESZEK KUMAŃSKI

KOSI, KOSI ŁAPKI...

No więc przez moment było cacy i kosi, kosi łapki, ale zaraz zaczęto przebąkać, że w kierownictwie „Solidarności” są określone siły i jednostki, którymi można straszyć dzieci. Zamiast Baby Jagi zaczęto pokazywać dzieciom do poduszki Rulewskiego z sym-

bolicznym nożem w zębach i z sierpem w prawicy, podrzygniętym garłem demokracji socjalistycznej, która tak pięknie nam w ciągu tych trzydziestu paru lat wybujała. Potem Rulewskich zaczęło się mnożyć, zwłaszcza od czasu, kiedy pierwowzór dostał po mordzie od duchów Hopkirka i Randala.

Wkrótce okazało się, że KKP jest toczona przez gangrenę rewizjonizmu i nieodpowiedzialności. Na koniec, po pierwszej turze Zjazdu „Solidarności” dowiedzieliśmy się, że owszem, większość członków Związku to zdrowy, odpowiedzialny odłam klasy robotniczej, cóż, kiedy wybrani przez nią delegaci są obcy im ideowo, nasłanymi przez imperialistów agentami — jak zasugerowano w jednym z osławionych listów do przyjaciół. Na dodatek ubolewać należy, że oszwabiona klasa robotnicza zamiast dać klapsa, daje tym podległom posłuch. No więc jak to jest, towarzysze, z tą świadomością klasową? Bo do sierpnia ub. roku człowiek był głupim robolem, hamującym postęp, nieświadomym dywersantem torpedującym wizję proroków. Po sierpniu okazało się, że klasa robotnicza jest jednak najmadrzejsza i nie da się oszukać byle lachom. Teraz nagle znów jakby zmieniła się w motłoch, kupiony przez Wałęsę i spółkę, tanią monetą demagogii. Tak więc, o ile na IX Zjazd PZPR delegatów wybrano demokratycznie, a ich głos był głosem wyborców, to w przypadku „Solidarności” akurat cholerę w bok! Wybory były sfałszowane, jeśli tytuł delegatów na Zjazd wypięło się na swoich wyborców. Bo przecież socjalistyczny, świadomy robotnik nie może się identyfikować z kimś, kto mówi nie tylko o żarciu, ale również o Polsce. Według życzeń niektórych, robotnik powinien interesować się kartkami na mięso, ziemniakami na zimę, wódką, wycieczką na grzyby i meczem piłkarskim, poza tym morda w kubel i odmaszerować! Kiedy ktoś mówi o Polsce, jej sojuszach, jej roli na mapie politycznej Europy, to już rzecz jasna robotnikowi zwiastuje, on ma od tego PZPR. Nie chcę tu, by odczytano podtekst, w którym przymyślam antyradziecki jad, jaki toczy mi się z pokrytych pianą nienawiść ust. Nie jest: wariatem; by nawoływać bezżebne niemowlę, by rzuciło się na kość, zamiast przyssać się do mlecznej piersi... O Polsce można mówić różnymi odcieniami głosów, a mimo wszystko mieć na względzie jej interes oraz to, by głos ten był głosem socjalisty. Odcinanie społeczeństwa od władz związkowych jest prymitywnym chwytym, który kompromituje tylko tych, którzy lekceważą znów intelekt narodu. To tak, jakby telewizja amerykańska, tuż po wyborach na prezydenta wmaśniała, że Reagan jest świnią, którą oni nieświadomie wybrali, a która ich teraz puści w ajencję komunistom. To tak, jakbyśmy zaczęli wysyłać do fabryki im. Lichaczowa listy z wyjaśnieniem, że towarzyszy Breżniew jest — przykładowo — agentem jednego z obcych wywiadów. To tak, jakby Onyszkiewicz był Urbanem, a Bujak odmałwiał codziennie pacierz ze statutu PZPR. Przecież we wszystkie te bzdury i tak nikt nie uwierzy. ■

„Biuletyn” Regionu Świętokrzyskiego nr 18
Kielce, 14.X.81

KRZYSZTOF WOLICKI

RZĄD DUSZ?

Prasa, radio i telewizja pełne są „Solidarności”, a mimo to związek wciąż ponawia żądania dostępu do środków masowego przekazu. Dlaczego tak się dzieje, najlepiej prześledzić na przykładzie Dziennika Telewizyjnego i jego okolic w programie telewizyjnym.

Każdy może bez trudu zauważyć iż zależnie od danej sytuacji politycznej: tu jest strajk, a tam Wałęsa rozmawiał z Jaruzelskim, tu arcybiskup Glemp pojechał do Watykanu, a tutaj Rosjanie przysłali list albo odebrali list, et cetera — tonacja mówienia o „Solidarności” zmienia się jak w kalejdoskopie. Tonacja ta znaczy również sposób podawania informacji.

I tak pan Woźniak, który dzięki swojemu uśmiechowi stał się nieco przechodzącym ulubieńcem damskiej publiczności, wbił się w ciemny garnitur, robi tragiczną minę i podaje wiadomości o „Solidarności” tak, jakby mówił o jakiejś okrutnej chorobie, na której rozszerzony był Solidarność już bierze na rogi biednego, szlachetnego torera Jaruzelskiego, zapędzonego w róg areny. Innym razem zaś nasz blondasek na ekranie przypomina sobie swój radosny uśmiech i jest pogodny jak jutrzienka, choć

mówi o tych samych siedmiu strajkach, które się toczą. Ale okazuje się, że spotkali się Polacy z Polakami, że się mogą dogadać, i chociaż strajki się jeszcze toczą, to nagle okazują się one słusznym protestem klasy robotniczej na jakąś tam lokalną nieudolność, lub wymykającą z nawiąnej niecierpliwości w dążeniu do odnowy. Innymi słowy „Solidarność” jest raz bardzo czarna, innym razem taka bardziej błękitnooka, w zależności od doraźnej rachuby rządu.

Otóż my sobie tego nie życzymy, my sobie życzymy żeby „Solidarność” miała własny głos i mogła w tej telewizji mówić własnym głosem, sama przedstawiać się publiczności. Dopominamy się, zależnie od okoliczności, czasem tylko konkretnych audycji czasem, bardziej ogólnie, dostępu do środków masowego przekazu, a w zasadzie zmiany ich statusu, społeczeństwa w miejsce dotychczasowego ich upaństwowienia. Chodzi nam o to, by telewizja odzwierciedlała prawdziwy układ sił i grup społecznych w Polsce, żeby mówiła różnymi głosami. Nie mamy nic przeciwko temu, żeby na przykład po audycji z tekstem, rzekomo Jurczyk ktoś powiedział: „Boże, co za idiotyzm”. Jeżeli Jurczyk nie umiałby się inaczej przedstawić, to zasłużyłby na tego rodzaju opinię. Ale może właśnie Jurczyk zasłużył wtedy na zupełnie inną opinię? W każdym razie na pewno nie chcemy, żeby go w tej telewizji preparowano z fragmentów, z kawałków, z rzeczy mądrych i głupich, w każdym razie z rzeczy nieautoryzowanych. Nie chcemy być wystawiani na strzałę.

Drugim zagadnieniem w procesie manipulowania opinią publiczną jest instrumentalność informacji w środkach masowego przekazu. Dobór przekazywanych informacji, sposób ich podawania, a więc tym samym ich prawdziwość jest podporządkowana intencjom, doraźnym celom kierownictwa Radiokomitetu. Otóż my nie chcemy, żeby środki masowego przekazu pracowały w ten sposób. Moglibyśmy taką zasadę zaakceptować, gdyby funkcjonował ich pluralizm. Wtedy nie mielibyśmy nic przeciwko temu, by Trybuna Ludu instrumentalnie manipulowała informacją, bo jest powszechnie wiadome, że jest to centralne pismo partyjne i ustawia ono sobie informacje tak, jak uważa za stosowne ze swojego punktu widzenia. Problem, czy oni mądrze, czy głupio rozumieją interes własnej partii jest już ich smartwaniem, nie naszym. Ale my też chcemy mieć swoją własną prasę, która będzie mogła stawiać bariery wiarygodności poprzez własną informację. Jeżeli bowiem istnieje kilka niezależnych źródeł informacji, to żadne z nich nie może za bardzo kłamać, bo jest to wtedy zbyt widoczne. W ten sposób pluralizm informacji już chociaż statystycznie eliminuje zbyt bezczelne kłamstwo, a to, którego nie może wylimnować, przynajmniej poddaje kontroli.

Prasa związkowa, borykająca się z brakiem papieru, miejsca, sił i poligrafii nie jest w stanie odpowiadać na wszystkie kłamstwa tak, jakbyśmy chcieli, nawet pomimo ogromnej wiarygodności, jaką się cieszy w społeczeństwie, a już na pewno nie potrafi konkurować z tak potężnym medium jakim jest telewizja czy radio, instytucje całkowicie monopolistyczne. Bo przecież nie można uważać Radia Wolna Europa i paru dzienników Głosu Ameryki czy BBC za konkurencję. Po pierwsze mało jest radiodbiorników zdolnych odbierać te radiostacje, i co warto podkreślić, Radio Wolna Europa jest zagłuszana znacznie mocniej niż przed sierpniem, a poza tym wprawdzie Wolna Europa wie o Polsce dużo, jak na radiostację zachodnią, lecz jednak znacznie mniej niż my i nie ma powodu, żebyśmy mieli dowiadywać się prawdy o Polsce z Radia Wolna Europa, chcielibyśmy móc ją usłyszeć w Polskim Radio. W sytuacji, gdy radio i telewizja działają na zasadzie monopolistycznej, będziemy domagać się zmiany ich statusu, a teraz, zanim ta zmiana nastąpi, naszej obecności w tych mediach. Ludzie muszą dowiedzieć się, że my, Solidarność, mamy w tych konkretnych godzinach swój blok, że od tej do tej godziny na antenie mówi „Solidarność”. Potem może sobie usiąść przed kamerą minister Urban i pluć na nas przez cztery godziny, byle tylko ludzie mogli wiedzieć także to, co my mamy do powiedzenia.

Osobnym zagadnieniem jest śledzenie zagrań propagandy anty-związkowej. Przy obecnej ich częstotliwości jest to praktycznie zadanie na codzień. Głównym i wciąż powracającym zagraniem są rozważania o tym, za co Solidarność ponosi odpowiedzialność. Pierwszy zaczął takie rozważania snuć bodajże Olszowski, rozpowszech-



MPZ nr 7

str. 5

władzę do opamiętania. Sygnałami już chyba przedostatnimi, bowiem wyczerpała się nie tylko cierpliwość narodu, ale i jego wytrzymałość biologiczna. Zarazem zła wola rządu została potwierdzona. Permantnie nie dotrzymuje on warunków Porozumień Gdańskich, cynicznie deprecjuje porozumienie warszawskie z 30 marca br.

Ostatnio powiało optymizmem. Skłaniać może ku niemu bezprecedensowe spotkanie Jego Ekscelencji Ks. Prymasa Józefa Glempa i Przewodniczącego KK „Solidarności” Lecha Wałęsy z panem Jaruzelskim. Lecz jeśli Związek ponownie ma zasiąść do stołu z władzami, musimy uważać, żeby władze nie traktowały tego jako kolejnej gry na zwłokę. Teraz ustalenia nie mogą zostać li tylko świstkiem papieru; teraz muszą wejść w życie, i to bardzo, bardzo szybko.

A jeśli nie? No cóż, jesteśmy bardzo silni. Środowy strajk pokazał to wszystkim. ■

„Biuletyn Informacyjny” nr 21 (numer ostatni?)
Z.M. URSUS. Warszawa, 11.XI.81

WALDEMAR BOCHEŃSKI

NUMER OSTATNI?

Sądzę, że pewna część Czytelników czytając ten numer, a właściwie patrząc na winitkę przeciętą napisem: Numer ostatni? zastanowi się głębiej nad tym, co w danej chwili mieliśmy na myśli. Oczywiście znajdzie się też grupa ludzi, którzy potraktują nas jak wyglupiających się pętków; ot, takich, którzy chcą czasami zamącić. Otóż jednych i drugich chciałbym: po pierwsze uspokoić, że postawionego przez nas pytania nie należy utożsamiać z definitywną likwidacją naszego „Biuletynu”; po drugie spróbować ustawić w naszej sytuacji.

Zespół Redakcyjny składa się z grupy dziesięciu osób stale współpracujących oraz kilku osób, które czasami podrzucają nam tekst. Chciałbym tu nadmienić niezwykle istotny fakt: ta grupa osób, pracujących społecznie, od marca bieżącego roku poświęcając związkowej informacji każdą wolną chwilę — nigdy nie upomniała się o pieniądze za swoją pracę. I w tym miejscu legł chyba nasz błąd. Miał bawić się w cosobotnie, calonocne prace przy składaniu kolejnych numerów, należało z góry ustalić określone stawki, pracować „od gwizdka do gwizdka”? Wydawało nam się, że nie na tym ma polegać praca informacyjna w nowym Związku, że praca ta — to służba sprawie.

Cóż, tak już w życiu bywa, że nawet najpiękniejsza idea potrafi się przekształcić w coś, co trudno określić... Staje się tak zawsze wtedy, kiedy grupie zapaleńców brak poparcia. W konkretnej sytuacji chciałbym zapytać: W czym pomógł nam Zarząd? Zapytam inaczej: Czy Zarząd „biurowy” jest zainteresowany dalszą działalnością „Biuletynu”, jak to wynika z zapisu na winitce: *orga prasowego ZARZĄDU FABRYCZNEGO*? Na swoim ostatnim posiedzeniu członkowie Zarządu Fabrycznego woleli raczej długo i namiętnie dyskutować nad sprawą „specjalnych komisji”, które zajmowałyby się kontrolowaniem zakupów papieru. Zaś próba poruszenia sprawy „Biuletynu” przez przewodniczącego Komisji Informacyjno-Prawnej, której przedstawiał program komisji, została odrzucona jako mało istotna i wykraczająca poza program zebrania. Było mi cholernie przykro, że poświęciłem te osiem miesięcy — przekreślając na ten czas życie mojej rodziny dla „mało istotnej sprawy”. Przepraszam także członków Zarządu, że uległem własnej słabości i nie mogłem uczestniczyć do końca w ich dywagacjach. Naprawdę szlag nieraz człowieka trafia, kiedy słucha dyskusji o niczym!

Informacja w naszym Związku, w naszej określonej sytuacji, jest niezwykle istotna. Ponadto jest to ważny czynnik utrzymania demokracji wewnątrzwiązkowej, co niektórzy działacze starają się wypaczyć — spójrzmy na likwidację „Niezależności” w Regionie.

Bądźmy wierni idei solidarności! Nie dajmy wbiąć między siebie klina! Walcząc o wolność prasy, walczmy o wolność prasy związkowej, stwarzajmy jej godziwe warunki pracy. ■

„Biuletyn Informacyjny” nr 21 (numer ostatni)
Z.M. URSUS. Warszawa, 11.XI.81.

WYWIAD ZE STEFANEM BRATKOWSKIM

DOPIERO TERAZ PROJEKTY STAŁY SIĘ REALNE

„Solidarność Dolnośląska”: *Czy widzi Pan dziś większą szansę na realizowanie idei samorządu, niż w roku 1956?*

Stefan Bratkowski: W ogóle widzę ją dopiero dzisiaj i to z dwóch względów. Dzisiaj istnieje masowy, wielki ruch społeczny, wtedy ten ruch istniał w stanie załaskowym i został bardzo prędko złamany. Co więcej, całe tamto nasze pokolenie, które bardzo chciało zrobić ten samorząd, nie miało do tego nawet minimum przygotowania. Ja sam dopiero przez następne 20 lat dowiadywałem się, co na ten temat wiedzano i co, gdzie przedtem, próbowano zrobić. Wielu rzeczy dowiedziałem się dopiero w latach 70. Całe światowe doświadczenie różnych form samorządu było mojemu pokoleniu zupełnie nieznaną. Ciągłość została zerwana nie tylko przez wojnę, ale i przez okres stalinowski. Byliśmy świetnie wyszkoleni teoretycznie w tym, jak przeprowadzić przewrót, ale zupełnie nie wiedzieliśmy, co z tym dalej zrobić. Różnica w stosunku do sytuacji z roku 1956 jest olbrzymia i to pod każdym względem.

„SD”: *Czy podziela Pan opinie niektórych, że przeprowadzenie reformy samorządowej w momencie, gdy gospodarka gnie się pod własnym ciężarem, będzie dla tej gospodarki gwoździem do trumny?*

S.B.: Wręcz odwrotnie. Z zastrzeżeniem, że będzie to autentyczny, pełny samorząd; po pierwsze — oparty na samodzielności przedsiębiorstw, po drugie — na współodpowiedzialności ekonomicznej załóg. Bo jeżeli miałoby to być przejęcie władzy, bez przejęcia współodpowiedzialności ekonomicznej, i uregulowania wszystkich problemów prawno-ekonomicznych u podstaw, wtedy naturalnie może powstać chaos. Ale z chaosem mamy do czynienia przede wszystkim dzisiaj.

„SD”: *Czy uważa Pan za możliwe kompromisowe rozwiązania problemu statusu powstających samorządów, wobec różnic dzielących propozycje władz, od propozycji społecznej?*

S.B.: Ja nie taję, że w ogóle problem reformy gospodarczej z usamorządowaniem przedsiębiorstw uważam za autentyczny, wielki problem. Tu naruszamy interesy grupowe potężnej warstwy kilkuset tysięcy ludzi, którym zabiera się władzę. Nie zabiera się jej dyrektorom przedsiębiorstw ani np. dyrektorom koncernu węglowego, bo taki koncern będzie musiał funkcjonować, ale zabiera się przede wszystkim decyzje finansowe potężnej grupie społecznej, która tylko w tym miała swoje oparcie. Jest to grupa, która nie przynależy do aparatu partyjnego, która nie jest również administracją państwową sensu stricto, nie jest sądownictwem ani aparatem ścigania i jest skazana na to właśnie źródło swojej potęgi. Będzie broniła się przed zmianą rękami i nogami. Trzeba to zjawisko społeczne i postawę tej grupy odróżnić od postaw ludzi z administracji centralnej i polityków, i oczywiście od postaw samego ruchu samorządowego. Myślę, że jesteśmy w tej chwili w fazie narodzin i że będzie to dość długi i trudny — niezależnie od interesów tej grupy — proces adaptacji. Wielu rzeczy ani władza, ani ruch samorządowy po prostu nie wie.

Nikt nie zrobił nigdy władzy wykładu doświadczeń reformy węgierskiej, żeby dokładnie wiedziała, o co chodzi i nikt też nie wyłożył doświadczeń modelu jugosłowiańskiego, a także nikt nie pokazał władzy, jak wygląda centralne sterowanie gospodarką japońską, która przecież jest oparta na biznesie prywatnym, a mimo to jest niezwykle sprawnie i skutecznie kierowana przy pomocy instrumentów ekonomicznych — przymerze banków prywatnych z administracją państwową. Są to wielkie banki prywatne, decydujące o życiu ekonomicznym Japonii. Przyjrzenie się, jak to wszystko działa, jest punktem wyjścia do zrozumienia modelu, jaki chcemy zbudować. Bez tego będzie to bardzo trudne.

Myślę, mówiąc już teraz o naszej sytuacji, że wszystkie stworzone u nas formuły spotykają się w pół drogi, co przy stopniowym osławianiu się z przyszłymi prawno-ekonomicznymi regulacjami sprawi, że jedna i druga strona będzie wiedziała, jakie rozwiązanie jest najwłaściwsze. Myślę, że obie one będą zdolne do tego, by szukać razem rozwiązań optymalnych.

Najbardziej powszechny dzisiejszy błąd polega na próbie zastosowania jednego schematu do wszystkiego, i to zarówno w sensie stosunków między przedsiębiorstwem i administracją centralną, jak i w zakresie organizacji samorządu, czy też form współodpowiedzialności ekonomicznej załogi.

Czymś innym jest małe przedsiębiorstwo, zatrudniające do 50 osób, które w ogóle nie powinno istnieć na innych zasadach niż spółdzielcze, czyli być klasyczną własnością grupową. W tym wypadku wszelki atak na własność grupową jest totalnym nieporozumieniem, bo własność grupowa w sensie formalnym jest uznana jako pełnoprawna, pełnowartościowa w sensie praw ekonomicznych.

Czymś innym jest sytuacja przedsiębiorstw, w których może istnieć jeszcze demokracja bezpośrednia, mniej więcej do 500 zatrudnionych, gdzie duży nawet majątek państwowy można przekazywać załozdze, jako swojei spółdzielni wszystkich zatrudnionych, bo wtedy można jeszcze wybierać w trybie spółdzielczym i w ogóle w tym trybie może to funkcjonować.

Czymś innym jest sytuacja z kolei bardziej złożona struktura wielkiego przemysłu, gdzie też z kolei w każdej dziedzinie, każdej branży, trzeba szukać rozwiązań specyficznych i odrębnych. Dla przykładu: huta nie potrzebuje żadnego zjednoczenia, ponieważ każda huta sama jest już wielkim przedsiębiorstwem i żadne inne formy związków organizacyjnych, poza porozumieniem samych hut i poza państwowym nadzorem, jaki sprawuje w całym świecie administracja publiczna, nie są potrzebne. Nadzór państwowy dotyczy tu różnych spraw od odnowy środowiska po odnowę pracy, a więc egzekwowanie przepisów. Za-chodzi tu zresztą totalne nieporozumienie, bo tak przedstawiciele państwowej administracji, jak i ruchu samorządowego rozumieją administrację państwową tak, jak dotychczasową administrację gospodarczą. W przyszłym modelu administracja państwowa musi być niczym innym, jak tylko administracją publiczną, reprezentującą interes publiczny wobec gospodarki, czyli musi być czymś z zewnątrz w stosunku do gospodarki.

Mamy z kolei sytuację koncernu, dla przykładu węglowego, gdzie nie można przeprowadzić samodzielności każdej kopalni, bo wtedy część kopalń o gorszych warunkach wydobycia padłaby. Trzeba stosować rozliczenia w skali całego przemysłu węglowego lub pewnej grupy przedsiębiorstw tego przemysłu — myślę jednak, że znacznie efektywniejsze byłoby stosowanie tego do całego przemysłu, a nie do poszczególnych zjednoczeń, ponieważ wtedy dochodzi do upośledzenia zjednoczeń pracujących w gorszych warunkach geologicznych. Ponieważ w takich warunkach trzeba stosować „tony rozliczeniowe”, a nie opierać rozliczeń na „żywej tonie” urobku, to rzecz jasna trzeba stosować inne zasady organizacyjne. Przykłady można mnożyć.

Oddzielnym problemem jest kwestia współodpowiedzialności ekonomicznej. Tu też różnice muszą być ogromne, bo od klasycznych zasad spółdzielczych, gdzie się jest właścicielem imiennego udziału w kapitale firmy i dysponuje się jednym głosem na walnym zebraniu, aż po udział w zyskach firmy rozliczanych na podstawie badania wyniku przedsiębiorstwa. Trzecia sprawa warta podkreślenia: samorząd jest potrzebny w każdej formie współwłasności, współodpowiedzialności ekonomicznej, ponieważ menadżerowie z reguły boją się tego typu akcjonariuszy, bo to jest ten typ akcjonariusza, który stosuje kontrolę od wewnątrz, jest najlepiej poinformowany. Menadżerowie na całym świecie bronią się przed tego typu kontrolą. Stąd ten szalony opór przeciw samorządom i przeciwko tej kontroli, jaką wobec dyrektora sprawuje w takim przypadku załoga.

Istnienie samorządu ułatwia wiele spraw od strony ekonomicznej. Współodpowiedzialność ekonomiczna — to, co powiem będzie zapewne niepopularne nawet wśród samych uczestników ruchu samorządowego — jest jedyną barierą dla nicograniczonego windowania plac. Wtedy bowiem to, co się uzyska na placach, odbija się na zyskach — spada konkurencyjność przedsiębiorstwa itd.

Jakie są niebezpieczeństwa? Jak przy każdej instytucji rady nadzorczej i w ogóle nadzoru wobec kierownictwa operacyjnego istnieje problem — jak to określił Townsend — „jak ustawić kierowców z tylnego siedzenia”. Każdy kierowca z tylnego siedzenia chce sięgnąć do kierownicy przez ramię właściwego kierowcy. Townsend bardzo celnie określił funkcję rady nadzorczej — a nie jest to bez znaczenia, że rady

do naczelnego!'. Już po kilku minutach następuje kompletne przemeblowanie wykonywanej od rana przez dyżurny zespół pracy. Niektóre materiały wędrują na konicę, inne na początek (z tym, że raczej duże strajki po małych konferencjach partyjnych niż odwrotnie), coś dochodzi, coś spada, coś trzeba skrócić o jedno drobne zdanko — o 19²⁸ redakcja najczęściej przypomina wulkan w momencie erupcji i nikt tak naprawdę nie wie, jak ten dziennik będzie wyglądał. Oprócz tego, że w każdym razie będzie wyglądał źle.

Wiele się pisze i mówi o manipulacjach informacją — w radiu i telewizji jest to szczególnie łatwe do wykonania, bowiem współczesna technika umożliwia chwyt wręcz niewyobrażalne — i dosyć trudne do zauważenia bo nie pozostawiające śladów na piśmie.

Dziennik jest swoistym laboratorium manipulacji — nic nie wskazuje na to, by praktyki te miały się kończyć. Kwitną sobie bujnie i sygnał DTV w dalszym ciągu budzić będzie jedynie irytację i niesmak. ■

„Niezależność” nr 133
Warszawa, 22.IX.81.

KULISY SŁUPSKIEJ MAFII

Jeszcze jedno dokończenie

Słowiński Park Narodowy powstał na mocy rozporządzenia Rady Ministrów PRL z dn. 23.09.1966 r. (Dz.U. nr 42, poz. 254).

W obrębie Słowińskiego Parku Narodowego rozległe obszary zakwalifikowane zostały jako rezerwat ścisłe. W 1976 r. (stosowny dokument został wystawiony w styczniu 1977 roku) Słowiński Park Narodowy uznany został przez ONZ — UNESCO — MaB za „dziedzictwo światowe” nadano mu status światowego „rezerwatu biosfery”. Należy nadmienić, że taki statut międzynarodowy posiadają jedynie nieliczne obszary chronione na świecie (w tym na terenie Polski jeszcze 3 obszary).

Mniej więcej od początku lat 70-tych zaobserwować można było na obszarze Słowińskiego Parku Narodowego (SPN) rosnącą samowolę dyrektora Parku — Jana Wróbla i kilku pracowników dyrekcji SPN — zaufanych Jana Wróbla, a przede wszystkim różnych ówczesnych dygnitarzy. Dyrektor SPN stworzył cały szereg niedemokratycznych, całkowicie bezprawnych i bezpodstawnych układów i przywilejów dla licznej grupy wybrańców aparatu partyjnego i administracyjnego od szczebla centralnego i wojewódzkiego poczynając a na gminnym kończąc (wcześniej jeszcze przed reformą administracyjną byli to „dygnitarze powiatowi”). Dla dyrektora np. zezwolenie na wjazd pojazdami spalinywymi bez ograniczeń na teren SPN (w tym i w obręb rezerwatów ścisłych!!!), zezwolenia na urządzanie sobie polowań i strzelanie zwierzyny, wędkowanie na wszystkich wodach SPN (również na wodach objętych statusem rezerwatów ścisłych) itd. W efekcie dziesiątki samochodów dygnitarzy (i motocykli) rozjeżdżało teren SPN, strzelano zwierzynę, masowo odławiano ryby, dokonywano na masową skalę bezprawnego zbioru owoców runa leśnego, urządzano sobie pikniki (wyjątkowo hałaśliwie, przy użyciu instrumentów muzycznych, tranzystorów, magnetofonów itp.).

Wszystko to odbywało się również na terenach rezerwatów ścisłych a więc na terenach *szczególnie chronionych prawem* (np. rejon jeziora Dolgie Male). Podczas gdy zwykłym robotnikom PRL za samo zejście ze szlaku turystycznego w SPN grozi — zgodnie z obowiązującym prawem — wysoka grzywna, to „właścicielom” SPN wolno było dosłownie wszystko.

Opisane w skrócie zjawiska nasiliły się szczególnie od połowy lat 70-tych. Na te swoiste przejawy, demokracji socjalistycznej, zwracały uwagę w różnej formie (ustnie i na piśmie) dziesiątki i setki osób widzących rażące dysproporcje w interpretacji przepisów prawa — wg. Konstytucji PRL, obowiązującego wszystkich jej obywateli...

Ministerstwo Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, Departament Ochrony Przyrody tegoż Ministerstwa (któremu podlegają Parki Narodowe), dyrekcja SPN na zwracanie uwagi czy pisemne zażalenia itp. reagowały w wiadomy — lekceważący sposób.

Jednocześnie jakby jeszcze tego wszystkiego było mało — dyr. Jan Wróbel wynalazł nowe elementy i formy uprzyjemniania życia dygnitarzom — zasługujące na szczególne wyeksponowanie:

1) Na początku lat 70-tych dyr. J. Wróbel przyjął od Państwowego Gospodarstwa Rybackiego Gardna Wlk. chatę drewnianą, położoną w obrębie rezerwatu ścisłego nad jeziorem Dolgie Wielkie. Chata ta została odrestaurowana i wyposażona w meble (wykonane przez SFM Słupsk — łóżka, stoły, szafki — zabrane ostatnio przez dyrekcję SPN). Na zewnątrz chaty wykonano podest drewniany do tańca, oraz umieszczono stoły i ławy (z braku starych drzew dębowych o dużej średnicy, wyciętych w rezerwacie SPN). W chacie, która szybko zyskała sobie wymowną nazwę „Chatka-kopulatka” miejscowi dygnitarze urządzali sobie tęgie popijawy i pijacko-seksualne orgie. W organizacji tych orgii wielkie zasługi położył i wielki wkład miał oczywiście dyr. Jan Wróbel i jego kuzyn a jednocześnie adiunkt SPN Aleksy Kuczorra. Oni organizowali ognisko (rezerwat ścisły!!!), drzewo i prowiant, przygotowywali chatę na przyjęcie znakomych gości, którzy przyjeżdżali samochodami na teren, prawie ze względów ochrony przyrody zamknięty dla zwykłych śmiertelników, przywożąc ze sobą nieraz m.in. kelnerki z „Karczny Słupskiej” ze Słupska.

W imprezach tych uczestniczyli m.in. były I sekretarz KW PZPR, obecny w-ce premier Stanisław Mach, były wojewoda słupski Jan Stępień, w-ce wojewoda słupski W. Tyras, były I sekretarz KW PZPR Piechocki, Igor Wójtowicz i inni a także M. Wojda dyrektor Departamentu Ochrony Przyrody z Ministerstwa A. Browarek, naczelnik Wydziału Parków Narodowych z Ministerstwa Leśnictwa oraz Jan Wróbel i PS — czyli „pogotowie seksualne” tj. dwie panie z dyrekcji SPN (dziś podobno członkinie KZ NSZZ „Solidarność” w SPN). Świadkiem tego wszystkiego był m.in. kierowca SPN Zbigniew Jaworski (fakt ten należy sobie dobrze zapamiętać) aktywny działacz ORMO i innych organizacji na terenie Smol-dzina...

Jako przykład podać można imprezę, która odbyła się w chatce po odsianiu tablicy ku czci prof. Czubińskiego przy Muzeum Przyrodniczym SPN. W dniu 19.09.1976 r. w ramach obchodów S Lecia SPN odbyła się w ramach tzw. „programu specjalnego” wyjątkowo huczna impreza, w chatce, z udziałem J. Stępnia, S. Macha, M. Piechockiego, I. Wójtowicza, M. Wojdy i nie licząc oczywiście J. Wróbla.

2. Dyrektor SPN J. Wróbel założył tzw. „księgę zasługowych dla SPN”.

Księga ta to swoiste curiosum, założona została wbrew obowiązującym przepisom prawnym, wbrew podstawowym zasadom demokracji. Stanowi ona jaskrawy przejaw wyjątkowo karygodnej samowoli i sobicieństwa J. Wróbla, stworzenie „usankcjonowanych” przez „Księgę” struktur umożliwiających dygnitarzom nieograniczone i niczym nie skrupowane korzystanie z SPN. „Księga” bowiem „daje” nadal jeszcze po Sierpniu z tych „uprawnień” niektórzy korzystają, „wielkim gości świata”, których nazwiska zostały w niej uwiecznione dożywotnie „prawo” (ustanowione samowolnie przez J. Wróbla) nieograniczonego korzystania z uroków przyrody SPN.

Ludzi do „Księgi” wpisanych nie obowiązują bowiem wg. „interpretacji” J. Wróbla — żadne przepisy prawne, obowiązujące wszystkich na terenie SPN...

3. Na terenie SPN kłusował Ob. Jan Wróbel i kilku innych pracowników SPN. Szczególne zasługi na tym polu ma wspomniany już kierowca SPN Zbigniew Jaworski. Według powszechnie panującej opinii J. Wróbel wraz ze Z. Jaworskim strzelali do zwierzyny na „reflektorach” (co na to kodeks honorowy PZL?) J. Wróbel oprócz oficjalnych (przynawanych samemu sobie) odstrzałów kłusował, sekundując dzielnie w tym zakresie Stanisławowi Machowi, Stępniewi, Kozdrze i innym kłusownikom, wiele na ten temat może powiedzieć okolica ludność, która wiele powiedziała i słyszała... Tu w SPN strzelał zwierzynę amunicją *dum-dum* inspektor z Departamentu Ochrony Przyrody Ministerstwa Leśnictwa niejaki Pan Ryszczuk!!!

Najwięcej o tych brudnych sprawkach J. Wróbla i dygnitarzy wie chyba już wspomniany kierowca SPN Z. Jaworski. Dlatego chyba Z. Jaworski czuje się nawet po Sierpniu 1980 r. — tak „mocny” i całkowicie bezkarny. Kpi sobie ze wszystkich (przede wszystkim z przepisów obowiązującego prawa) i ze

wszystkich... Nadal samochodem służbowym SPN wjeżdża sobie do SPN do rezerwatów ścisłych i strzela, kłusuje, gdzie, kiedy i jak tylko mu się zamarzy... Wypadki takie miały miejsce nawet w lipcu i sierpniu 1981 r. Jak sobie wytłumaczyć fakt, że broń zabrano nawet strażnikowi SPN p. Knichowi z Gardnej, kustoszowi Muzeum Przyrodniczego SPN p. M. Zielonce, który nie wiadomo przy pomocy czego będzie teraz uzupełniał zbiory Muzeum Przyrodniczego SPN, pełniącego ważne funkcje dydaktyczne, a zostawiono sztucer z lunetą kierowcy dyrekcji SPN Zbigniewowi Jaworskiemu...

Tak to w latach minionych Słowiński Park Narodowy — stanowiący własność Narodu Polskiego, Świato-wy rezerwat Biosfery — stał się obiektem samowoli, stał się parkiem dla dygnitarzy aparatu partyjnego i administracyjnego.

Czytając o tych nadużyciach, wykroczeniach i przestępstwach (o czym jeszcze dalej), nasuwa się pytanie: gdzie były urzędowe, naukowe i społeczne organizacje, dlaczego to tolerowały? Gdzie był Wojewódzki Komitet Ochrony Przyrody? Nie mówiąc już o NIK, prokuraturze i resortach: Leśnictwa i Ochrony Środowiska. Gdzie wreszcie było ciało doradcze, opiniodawcze i czynniki kontroli społecznej nad działalnością SPN? Wystarczy jednak zapoznać się ze składem Rady Nadzorczej SPN, aby wyżyć się złudzeń:

1. Przewodniczący — Eugeniusz Spiewakowski (WSP)
2. Członek: Teofil Wojterski (UAM)
3. Członek: Dzieciolowski (AR Poznań)
4. Burzyński (IBL)
5. Szymański (Poznań) — u którego Wróbel robił doktorat, który dostawał odstrzał w SPN)
6. J. Wójtowicz
7. B. Drobkiewicz (KW PZPR)
8. Klein (ZOP PAN Kraków)
9. Cieplik (Woj. Konserwator Przyrody)
10. Ostrega (Wydz. Ochrony Środowiska Urzędu Woj.)
11. Pasikowski (Urząd Morski)
12. Kokos (dyr. Wydz. Kultury Fiz. i Turystyki)
13. Musiał (dyr. BUL).

Jak wynika z powyższego, skład Rady został do-brany nie tylko wg kompetencji merytorycznych, zasad moralnych, etycznych itp., lecz w znacznej części na zasadzie tzw. NOMENKLATURY. Dziwne zatem byłoby, gdyby w tym składzie Rada SPN działała w sposób gwarantujący pełne zabezpieczenie przyrody SPN i pełne przestrzeganie prawa na jego terenie obowiązującego.

Przewodniczącym Rady — E. Spiewakowski — z gierkowskim tytułem profesorskim (wcześniej z tytułem „docenta telefonicznego” — jak to określa jeden ze znanych w Polsce specjalistów w zakresie ochrony środowiska) też ma niejedno na swoim sumieniu...

Wystarczy sięgnąć do ujawnionych niedawno sprawek E. Spiewakowskiego na WSP w Słupsku, w wyniku czego musiał pożegnać się z kilkoma intratnymi stanowiskami i funkcjami... Teraz — jak fama głosi — chce zostać kierownikiem stacji naukowo-badawczej SPN, aby i tę powstającą dopiero placówkę „pokierować” po swojemu(...)

Na początku 1980 r. J. Wróbel po „zrobieniu” doktoratu u członka Rady Parku — prof. Szymańskiego z Poznania został za „szczególne zasługi” przeniesiony na stanowisko... dyrektora Kempinowskiego Parku Narodowego. Tu — jak chodzą słuchy — kontynuuje działalność z SPN. Tym razem już pod bliższą opieką niektórych dygnitarzy z centralnego aparatu PZPR (m. in. S. Macha). W lipcu br. Minister Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego w ramach resortowego zespołu d/s reformy gospodarczej — powołał grupę roboczą d/s ochrony Przyrody. Kierownikiem zespołu został J. Wróbel. W tej sprawie list otwarty do Sejmu, Rady Państwa i Prezesa Rady Ministrów wystosował Polski Klub Ekologiczny. W liście tym zawarte zostało m.in. votum nieufności wobec J. Wróbla.

W sierpniu br. działacze Biura Interwencji ZR NSZZ „Solidarność” Słupsk przeglądali dokumenty w dyrekcji SPN odnośnie odstrzałów przyznanych



niły się one obecnie dość szeroko. W tym ujęciu odpowiedzialność za sytuację do sierpnia ponosi Gierek, a więc jednak PZPR, co się uznaje za lekko wstydliwym przyznaniem oczy, ale przecież to już minęło i od sierpnia rząd jest pełen dobrej woli, a mimo upływu kilkunastu miesięcy nic się nie zmienia. Już dawno powinniśmy właściwie w miódzie pływać. Panowie z telewizji przypominają, że chlapi mieli dawać szynkę — no i gdzie jest ta szynka?; górnicy mieli wydobyć węgiel i dlaczego oni nie wydobywają węgla? Jednym słowem, jest to sugerowanie, że Wałęsa, jak dobra wróżka z bajki dla grzecznych dzieci, obiecał im w sierpniu, że machnie nie wiadomo czym i od razu uczyni z Polski kraj mlekiem i miodem płynący. Jest to pierwsze kłamstwo. Po drugie, konsekwencje trzydziestu sześciu lat takich rządów będziemy musieli znieść nie miesiąc, nie czternaście i nie cztery lata, ale dziesięć i dwadzieścia lat, zanim się przy sprzyjających warunkach naprawdę wygrzebiemy. Wreszcie, po trzecie, gdzież jest ta rzekoma dobra wola rządu przez czternaście miesięcy?

Podstawowym pytaniem probierczym dla wszelkich wypowiedzi o „Solidarność” jest kwestia następująca: Komu zależy na tym, by „Solidarność” jednoczyła, by była ona rzeczywiście solidarna, a komu zależy na tym, aby ją rozbić? Z samej masowości tej organizacji wynika bowiem bogata mozaika pozycji i światopoglądów, sympatii i antypatii osobistych. Jeżeli więc spotkanie się państwo z takimi zagrywkami, że ktoś z tego związku jest dobry, a ktoś inny zły, że gdyby ten dobry się tego zleża pozbył to my — telewizja, my — Jerzy Urban, my — itd. byśmy tego dobrego ozłocili, do serca przyciśnęli, jeżeli słyszycie, że jeden jest prawdziwy Polak, a drugi to nie tak całkiem prawdziwy, jeden chce lepiej dla Polski, drugi gorzej, to pamiętajcie — tu śmierdzi w powietrzu. Śmierdzi próbą rozbijania związku. Każdy z naszych działaczy, każda z grup, formacji i tendencji może nadawać się do krytyki wprost, ale krytyka, która przeciwstawia jest krytyką śmierdzącą, próbą dzielenia związku na równych i równiejszych. Bo my przecież wiemy, że się różnymi poglądami i przecież nie chodzi nam o jeszcze jedną zakłamaną jedynomyślność. Chodzi nam o wypracowanie tego niezbędnego minimum wspólnoty, które pozwalała nam być solidarnymi.

Mamy w tej chwili i tę wspólnotę i tę solidarność, ale nie możemy pozwolić jej zniszczyć, czy osłabić starymi metodami każdej fałszywej gry — przeciwstawianiem pięknych — brzydkim, prawdziwych — nieprawdziwym, dobrych — złym. Wiemy przecież, żeśmy wszyscy wyrosli z tego samego ruchu z tego samego sprzeciwu i że na tym historycznym etapie, w tym kraju i w tej części Europy, choćbyśmy się nie wiem jak różnili w tych czy innych problemach, chodzi nam o to samo — chodzi nam o SAMORZADNA RZECZYPOSPOLITA.

„Wprost” nr 55. Lublin, 14.X.81.

WIDZIANE OD WEWNĄTRZ

Gdy o 19⁰⁰ z milionów telewizorów w kraju rozlega się znany, ostry dźwięk, połowa społeczeństwa w trosce o swoje nerwy idzie się myć, a druga połowa zbiera się w sobie. Nawet najbardziej zaciękli oglądacze dziennika — emeryci, którzy przetrwali dwie wojny i parę okresów błędów i wypaczeń — nie mogą zachować równowagi ducha słuchając komentarzy, przy których wydzwiku „Trybuna Ludu” wydaje się nieraz pismem dysydenckim. Ekipy filmowe z reklamówką „DTV” wyrzuca się już prawie powszechnie z rozmaitych imprez, a co bardziej szanujący się ludzie udzielają, owszem, wywiadów telewizji, ale pod warunkiem, że nie pójdzie to w dzienniku. Krytykują te audycje wszystkie prawie — oficjalne, półoficjalne i całkiem nieoficjalne pisma w Polsce — nawet odnowiony tygodnik „Ekran” — a przeprowadzane przez OBOP badania wykazują ciągły spadek wiarygodności przekazu DTV. Dziennik się jednak nie zmienia — a jeśli, to według osądu społecznego na gorsze — i wielu ludzi zastanawia się: kto to robi, dlaczego i dla kogo?

1. Kto tym rządzi?

Rządzi tym Redaktor Naczelny — jak wszędzie. Mianuje go sam Towarzysz Prezes, a osobę akceptując najwyższe władze na szczelnie Biura Politycznego. Tak więc musi to być towarzysz zaufany i pryncypialny.

Od paru dni — Erazm Fethke, poprzednio — Stanisław Celichowski. Tu dygresja: jeszcze parę miesięcy temu obowiązywała doktryna, że DTV jest tubą poglądów Biura Politycznego, obecnie oficjalna wykładnia głosi, że jest przekaznikiem poglądów rządu. Naczelny nie działa tak całkowicie samodzielnie: przeważnie, przy bardziej istotnych problemach działa na wyraźne bądź domniemane zlecenie Wydziału Prasy KC, Biura Politycznego, rządu — bądź schodząc niżej po szczeblach władzy — prezesa i wiceprezesów Radiokomitetu. A polecenia bywają najróżniejsze: a to wyrzucić depesz, którą podał PAP, a to podrzucić wiadomość niesygnowaną przez żadną agencję, a to skrócić relację z wydziału, którym żyje cały kraj, to znów podać bardzo lakonicznie coś, co wszystkich interesuje — z dodatkiem komentarza, który nazajutrz będzie omawiany we wszystkich biurach i fabrykach w stylu „A słyszałeś, co ten... w dzienniku mówił”. Szef czuwa także nad obliczem politycznym zespołu: nagradzając moralnie i finansowo dziennikarzy spolegliwych dla władzy, a ofukując niesfornych bądź zadających niewygodne pytania. W ostatnich czasach fuknięcia oznaczają nawet wymówienie. Należy tu dodać, że zespół dziennikarski DTV nie jest w żadnym stopniu sidielskim sił, jak to się mówi, antysocjalistycznych i dysydenckich, jako że jest to jedyny chyba w kraju zespół pracowniczy, w którym nie istnieje koło „Solidarność”. Nie oznacza to jednak, że wszyscy należą do partii rządzącej.

I tak dochodzimy do punktu:

2. Kto to robi?

Robi to kilkudziesięciu dziennikarzy, różniących się wiekiem, poglądami, losami (obok bohatera Powstania Warszawskiego są zasłużeni pracownicy UB) — których jedynoczą właściwie przywiązanie do formy przekazu i — w wielu wypadkach — do pieniędzy. Nie jest bowiem tajemnicą, że w telewizji zarabia się więcej, niż w gazetach. Łączy ich także specyficzna więź, wytwarzająca się w środowiskach zagrożonych. Można to chyba porównać w pewnym stopniu do solidarności środowisk przestępczych. Lata pracy w bardzo specyficznym rodzaju dziennikarstwa — jakim jest dziennikarstwo telewizyjne — powodują, że duża część zespołu nie umiałaby się znaleźć — lub sprawiałoby to jej duże trudności — w innych formach przekazu. Działają także mechanizmy, wykształcone w okresie rządów ex-prezesa Szczepańskiego — przyzwyczajenie do uległości wobec każdej władzy — władzy, która potrafiła dotkliwie karać najmniejsze przejawy niesubordynacji.

Zespół jest w sumie mały i wszyscy się znają, łatwo jest więc zorientować się, kto jest kto. Jak większość redakcji, nie stanowi on monolitu, a ostatni rok spowodował wykrystalizowanie się podziałów. Duża część zespołu wolałaby robić dziennik zupełnie inaczej, ale ulubieńcami władzy są znowu całe kraje i reporterzy — autor reportażu z Olsztyna i Radomia Tadeusz Samitowski, przeprowadzający z nim liczne wywiady Andrzej Żuber, młody, wybijający się i stawiany za przykład Tadeusz Mosz oraz znana z pryncypialnych poglądów redaktor Jolanta Filipczak. W działaniu codziennym wspiera ich duchem i słowem żona barda „Barw” — co prawda tylko kierowniczką produkcji.

Nie tylko ci, których widzi się na ekranie, tworzą jedyny i niepowtarzalny koloryt dziennika. Zastępca naczelnego — Józef Węgrzyn — nie wystąpił nigdy, a jego roli przecenić przecież nie można. Jest autorem książki o Marksie, której tytuł „Wszystkich nienawidzę bogów” nie oddaje ceny poglądów autora, bowiem autorytet władzy chętnie na nade wszystko. Dodać należy, że każdej kolejnej władzy. Większość zespołu najchętniej wykonywałaby moralnie obojętne tematy w stylu „Wystawa kwiatów w Bziu Podlaskim”, bądź „Przyłot ministra spraw zagranicznych Republiki Górnej Wolyty”, co jest sprawą lekką, łatwą i przyjemną — aczkolwiek nisko płatną. Gdy jednak szef każe — trzeba wykonać i przegląd zagranicznych ech Zjazdu „Solidarność”, choć wiadomo, że szanse na ukazanie się na antenie mają raczej komentarze „Rudeho Prava” niż „Financial Times’a”, a nieuczgodnione cytowanie głosów przychylnych, wiązać się może z konsekwencjami, przewidzianymi przez Kodeks Pracy. Dziennikarz może — oczywiście — zrobić materiał zgodny ze swymi przekonaniami i obiektywnie przedstawiający jakieś wydarzenie. Owszem, tyle że szef może zażądać przerobienia materiału; jeśli autor się na to nie zgodzi, skróci kolega, a jeśli autor odmówi zdecydowanie — materiał po prostu nie pójdzie wcale.

Jedyną do tej pory formą protestu, stosowaną przez

dziennikarzy DTV, którzy nie akceptują — bądź akceptują nie w pełni — politykę władz jest podpisywanie różnych listów protestujących. I znów dygresja: gdy sąd SDP postanowił wykluczyć Tadeusza Samitowskiego ze Stowarzyszenia, Naczelny zwołał zebranie pracowników, którym zadał uchwalenie rezolucji, ów wyrok potępiającej. Wobec kramarnej postawy części zespołu — rezolucji nie podjęto, ale co bardziej pryncypialni koledy stwierdzili, że przynajmniej wyjaśniło się „kto jest z nami a kto przeciw nam”. „Przeciw nam” mogą być oczywiście, i członkowie PZPR, jako że niektórzy z nich podpisują różne listy, zadają szefom niezręczne pytania i składają rozmaite memorialy. Indoktrynacja pracowników — poza rozmowami indywidualnymi, osłoniętymi mgłą tajemicy — odbywa się na codziennych posiedzeniach kolegium, podczas których szef rzuca złotymi myślami w rodzaju „naród może przegrać, partia musi wygrać”, przy czym należy rozumieć że słowo „partia”, pojmuje jak Ludwik XIV, autor słynnego powiedzenia „Państwo to ja”.

3. Jak się to robi?

Codziennie rano redaktor wydania, czyli człowiek, który podpisuje swym nazwiskiem dzienniki — zamawia w całym kraju materiały. Zamawia je, wyposażony w wiedzę o wydarzeniach, podaną przez PAPA — z innych agencji właściwie się nie korzysta — i zaprogramowany przez naczelnego, który mówi, jak władza chce te wydarzenia przedstawić. Wysła w Polskę ekipy filmowe, zamawia łącza, zamawia korespondencje zagraniczne. Codziennie — oprócz reporterów, obsługujących konkretne wydarzenia — pracują dyżurni dziennikarze. Jeden — zajmuje się serwisem PAP i słownymi korespondencjami od krajowych współpracowników telewizji, inny czyta gazety i wyszukuje stosowne komentarze w dziennikach i periodykach, jeszcze inny opracowuje napływające z kraju filmy, a kolejny przyjmuje, przechodzące po łączach serwisy filmowe Interwizji i Eurowizji. Zbiera to wszystko w całość ówże redaktor wydania, który dokonuje pewnej selekcji materiałów. Przeważnie selekcja dotyczy spraw czysto warsztatowych, ale wiadomo że jeden nie lubi wiadomości o „Solidarność” całkowicie, inny tylko trochę, a inny jeszcze chciałby zachować obiektywizm. Jeśli jest dzień, w którym nic się w kraju nie dzieje, selekcja wykonywana przez redaktora wydania bywa selekcją ostateczną. Jeśli jednak coś się dzieje naprawdę, bądź szefem wydaje się, że coś się dzieje — szczebel decyzji podnosi się coraz wyżej. Minęły już co prawda czasy, kiedy decyzję o tym, czy zdjęć z wizyty papieża w USA należy dawać w wymiarze aż 50 sekund, czy tylko 30 — podejmowano w KC — mimo to jednak decyzje te podejmowane są przez naczelnego w konsultacji z władzami. Przykładem może być rozdmuchana przez telewizję sprawa podpalenia się pana Koziola. Początkowo naczelnicy uznał to za sprawę marginalną, (i weszły w tym podstęp „Solidarność”) zaś po konsultacjach doprowadził do nadania temu rangi najważniejszego wydarzenia w kraju, za co spotkały DTV liczne i zasłużone cięgi. Rezultatem „konsultacji” są komentarze dziennika — pisane przez ludzi spoza tego zespołu dziennikarskiego i w pierwszej osobie liczby mnogiej odczytywane przez lektorów, którzy nie mają prawa podawania nazwiska autora. Tak było, na przykład, ze styczniowymi komentarzami, pisanymi podczas sporu o wolne soboty przez obecnego rzeczniczkę rządu, Jerzego Urbana.

Również od szefa w górę decyduje się o tym, które wiadomości można przekazać w głównym wydaniu dziennika, a które mogą pójść i w I wydaniu nie oglądanym w ogóle, lub w wydaniu ostatnim — emitowanym bardzo późno i oglądanym przez niewielką liczbę ludzi. Jak brzmią na antenie wiadomości, tworzone z depeesz PAP, zależy także od depeusza — jeden wyrzuca kwalifikujące przymiotniki pisząc na przykład „niektóre siły w „Solidarność” zamiast „niektóre kontrrewolucyjne siły w „Solidarność””, inny z lubością takie przymiotniki akcentuje. Ta sama wiadomość może brzmieć wtedy zupełnie inaczej. To samo dotyczy filmów. Telewizja działa na zasadzie montażu elektronicznego — przy dobrym opanowaniu warsztatu, a dziennik jest warsztatowo sprawny — można bez większych wysiłków zmienić sens wypowiedzi, można przedstawić entuzjastycznie, gromadnie powitanie przywódcy, którego witało siedem osób, można też uniknąć pokazywania entuzjazmu tam, gdzie zdaniem władzy nie jest on wskazany.

Około godz. 19 dziennik jest w zasadzie gotowy do emisji. I często właśnie wtedy pada hasło „wydawca

pracownicze będą wypełniać dość istotne funkcje rady nadzorczej. Chodzi o to, żeby była to grupa ludzi, która kontroluje, nadzoruje i obserwuje, wyciąga wnioski. Ale, jak powiedział Townsend, głównym zadaniem rady nadzorczej jest wylać dyrektora, kiedy uzna, że przyszedł na to czas, natomiast dyrektorowi trzeba pozwolić operatywnie kierować przedsiębiorstwem. Zajmuje się ona poza tym np.: zatwierdzeniem bilansu, uchwalaniem statutu przedsiębiorstwa, decyzjami o zmianach jego ustroju i zmianach struktury organizacyjnej, opiniowaniem decyzji o zaciąganiu kredytów — wszystkim tym, co może się odbić na kieszeniach robotników.

„SD”: *W swojej książce „Nie tak stramo pod tę górę” stworzył Pan projekt samorządu terytorialnego, samorządu „czasu wolnego”. Czy dlatego właśnie o tym, że uważa Pan tę sprawę za ważniejszą, czy dlatego, że w tamtych warunkach, w latach 70, tylko taki samorząd, a nie samorząd „czasu pracy”, miał szansę zrealizowania?*

S.B.: Po prostu w tamtych warunkach było to bardziej realne. Po naszych próbach (w „Życiu i Nowoczesności”) podjęcia sprawy samorządu pracowniczego właśnie nas zniszczono. Zawiązał się wtedy zespół do spraw osiedla mieszkaniowego, funkcjonujący pod przykrywką programu rządowego numer 5, nad którym patronat objął prof. Sylwester Zawadzki. Powstał problem, czy nie daloby się czegoś wymyślić z tym samorządem osiedlowym, doradzić czegoś jako podstawy eksperymentu. Pisałem to w latach 1977-78. Ukazało się to tylko w „Wiedzy i Życiu”, nigdzie więcej. Publikacje wywołały potworną wściekłość „Społem”; żądano wstrzymania druku dalszych odcinków i na tym to się wtedy skończyło. Próbowano eksperymentować dalej, ale nie było po temu wtedy atmosfery i dopiero dziś projekty te stały się realne.

Sądzę zresztą, że samorząd lokalny, to jest ta rzecz, która przyjdzie. W tej chwili należy się skoncentrować przede wszystkim na samorządzie pracowniczym. Myślę zresztą, że samorządem terytorialnym zainteresowana jest przede wszystkim wieś. Bez przyzwolitego samorządu terytorialnego wieś nie będzie w stanie wyżyć ze swoich kłopotów z biurokracją wijską. Stopień napięcia między tą biurokracją a wsią jest bardzo duży.

Rozmawiał Leszek BUDREWICZ

„Solidarność Dolnośląska” nr 43
Wrocław, 29.X.81

MAREK LUBELSKI

O BUTACH, CENACH I PLANOWANIU

Wokół toczą się nieustające dyskusje na temat tego, jak uzdrowić polską gospodarkę. Od miesięcy różne gremia spierają się o jakąś reformę gospodarczą. „Solidarność” krzyczy o samorządach pracowniczych, Sejm wydaje ustawy, rząd opracowuje projekty, różni ludzie w różnych miejscach zawile coś komuś starają się wytłumaczyć. Wszystko to jednak jest jakieś zagmatwane i niejasne. Osobiście odczuwam w głowie silny zamęt i tak szczerze mówiąc, nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Nie udało mi się nigdzie wyczytać ani usłyszeć, jak będzie funkcjonowała polska gospodarka, kto nią będzie kierował, jak do tego dojdziemy i co z tego wyniknie. Mądrzy ludzie na pewno to wiedzą, ale nie chcą zdradzić. Tak zwana uwaga społeczna skoncentrowana została na samorządach pracowniczych, ma się odbyć na ten temat nawet referendum, z czego można by wnosić, iż jest to sprawa dla gospodarki kluczowa. Na własny użytek wymyśliłem sobie pewną historyjkę, którą chętnie się z innymi podzielę.

Historyjka ta przedstawia się mniej więcej tak: dawno temu ludzie chodzili w gumiakach, waciakach i innych pokrewnych strojach. W owych to czasach, do których zadziwiająco szybko zdajemy się powracać, można było przyjąć następujące proste założenie: jeżeli społeczeństwo potrzebuje rocznie dziesięć milionów butów to zapotrzebowanie z produkcją można prosto, łatwo i słusznie zbilansować, szkoda byłoby bowiem produkować nikomu niepotrzebne buty, jak i byłoby

rzeczą złą, gdyby dla kogoś butów zabrakło. Wystarczy zbudować lub wykorzystać odpowiednią ilość fabryk butów, które łącznie dadzą owe dziesięć milionów. Nie wiem czy ktoś akurat tak myślał, ale chyba coś w miarę zbliżone. Wątpię też, czy można w ogóle przyjmować kiedykolwiek założenie, że ludzie zawsze będą chodzić w gumiakach, ale trzeba przyznać, że takie założenie znacznie sprawę upraszcza. Gumiaki bowiem niewiele się od siebie różnią i trudno je aż tak bardzo sknuć, aby się do niczego nie nadawały. W każdym razie minęły lata i nadszedł czas, gdy ludzie zaczęli chodzić w butach czarnych i białych, na szpilkach i płaskim obcasie, ze skóry lub płótna itd. Powrócił, rozwinięty przez kapitalistów do rozmiarów niebotycznych, dyktat mody. I co się dzieje? Centralny planista dalej w papierach ma fabryki z ich zdolnościami produkcyjnymi oraz tzw. potrzeby społeczne. Wszystko mu się pięknie bilansuje i pozornie jest dobrze. Zgodnie z Rozdzielnikiem buty trafiają proporcjonalnie do czegoś tam na wieś i do miast. Założymy, że jest dziesięć fabryk produkujących po milion butów każda. Jedna robi buty dobre i ładne, kilka buty takie sobie, jedna buty zupełnie do niczego. Buty ładne zostaną zaraz wykupione ze sklepów, buty takie sobie niechętnie i powoli, buty złe tylko w nieznacznym stopniu. Żeby jednak było wszystko bardziej skomplikowane — buty trafiają, jak się rzekło, proporcjonalnie w różne regiony kraju, bo jakżeby inaczej. Gusty wsi różnią się od miejskich, a i potrzeby są różne. Oprócz tego wieś częściej jeździ do miasta niż odwrotnie. Co się więc dzieje? Na wsi w sklepach zostają nawet buty ładne, bo nikt ich tu akurat nie chce, a w mieście kupują nawet buty złe, bo innych wcale nie ma. Po roku Centralny Planista znowu wszystko bilansuje i wszystko się zgadza, ale handel ma w różnych miejscach z różnych przyczyn zapasy. Proszę też zauważyć, że niektórzy ludzie, jak z tego wynika, nie zdolali kupić butów, które potrzebowali. Popyt więc jest, Handel bierze wszystko co dostaje (nie wiem zresztą, czy mógłby nie brać). Historia się powtarza. Tyle że ludzie nauczeni doświadczeniami z zeszłego roku kupują bardziej nerwowo i nawet na zapas, bo jeśli ktoś w zeszłym roku został się bosy, to teraz kupi byle co i to w podwójnej ilości. Znowu więc buty znikają tu szybciej, tam wolniej, powstają gdzieśgdzieś nadwyżki, ale generalnie wszędzie ludzie szukają butów. Handel w roku kolejnym zamawia więc już 11 milionów butów, bo na rynku jest z nimi bardzo krucho. Centralny Planista co robi — ano wstawia do planu nową fabrykę butów, nową fabrykę skóry, koryguje wzywy plan produkcji stali i cementu, zakupy za granicą komponentów itd. Efekty tych operacji przyjdą za lat kilka. W międzyczasie rynek lata się importem, ale chaos na rynku stale się pogłębia. Ludzie kupują co popadnie, byle mieć w czym chodzić, licząc, że jak zobaczą ładniejsze, to stare wyrzucą, nawet nie całkiem zużyte, bo jakie jest inne wyjście. Powstaje nowa fabryka, ale buduje się ją tam, gdzie wolne miejsce i gdzie nadwyżka siły roboczej, bo jakże inaczej. Nowa fabryka ma nowe maszyny, ale i ludzi nowych, którzy nie znając się na robocie butów, produkują buble gorsze od wszystkich innych. Tymczasem fabryka, robiąca jako jedna dobre buty, ma już maszyny stare i kłopoty z jakością. Na rynku jest więc coraz więcej złych butów. Nikt ich poza krajem nie kupi. Kupią buty dobre, ale tych jest mało i można sprzedawać tylko kosztem zabrania z rynku krajowego. Koszty dodatkowego importu pokrywać trzeba z innych źródeł. Ponieważ w innych gałęziach sytuacja jest podobna, pozostają tylko nieprzetworzone surowce, jako środek zapłaty za rzeczy potrzebne na ten jedenasty milion butów. Proszę zauważyć, że ludzie nadal potrzebują dziesięć milionów dobrych butów, a kupują jedenaście milionów butów takich sobie lub złych. I znowu w latach kolejnych jest to samo... Za kilka lat zaczyna więc budować kolejną fabrykę. I tak dalej i tak dalej.

Zastanówmy się co by się stało, gdyby zrobić tylko jedną rzecz — zlikwidować Plan i Rozdzielnik. Fabryka robiąca dobre buty w roku następnym dostalaby zamówienia podwójne. Dokupiłaby sobie skóry, któreby nie wykupiła już fabryka robiąca złe buty, bo ta musiałaby przestawić się np. na torebki. Za kilka lat na rynku pozostałyby tylko fabryki robiące dobre buty, a i na eksport (chciany) by nie zabrakło.

Co z tej historyjki wynika? To, co wszyscy wiedzą — że polska gospodarka jest zadziwiającym mechanizmem, który sam pochłania prawie wszystko co wytwarza, a na rynek daje niewiele i marnego gatunku, o eksporcie zaś w ogóle nie ma mowy. Jest jednak pewien wniosek praktyczny. Wpierw trzeba wy-

rzucić Plan i Rozdzielnik, a reszta zjawi się sama, bo będzie musiała. I samorządność, i reforma gospodarcza, i rachunek ekonomiczny, i wiele innych wspaniałych rzeczy. Jeśli najpierw będą samorządy, niezależnie od tego, iż w ich cudowne działanie niezbyt wierzę, a Plan i Rozdzielnik zostaną tylko w niewielkim stopniu ograniczone, to działacze samorządowi idą na z góry przegrany bój. Jedynie, co mogą osiągnąć, to zmiana dyrektora i zwolnienie części załogi, od czego produkcji i dobrobytu nie przybędzie. Może teza o likwidacji planu jest przeszarżowana, ale mam dziwne uczucie, że środki masowego przekazu być może celowo, a „Solidarność” być może na skutek zafascynowania doraźnymi celami politycznymi, mówią i spierają się akurat nie o to, o co chodzi naprawdę, i o co spierać się naprawdę warto.

Przy okazji z nieco innej ekonomicznej beczki. Społeczeństwo wielkim głosem protestuje przeciwko reformom i podwyżkom cen. Może więc warto zobaczyć, jak ma się sprawa z cenami i zarobkami u innych. Bardzo dogodnym materiałem porównawczym jest Austria, kraj omalże socjalistyczny, bowiem zarobki w Austrii zbliżone są kwotowo do naszych. Sprzątacza zarabia około 3000 szylingów; urzędnik około 6000, dobry fachowiec ponad 10000, dyrektor ponad 20000, są i zarobki wyższe. Średni zarobek wynosi, jak mi mówili Austriacy, ponad 6000 szylingów. Jakie więc są ceny? — papierosy amerykańskie, zależnie od marki, kosztują 26-32, tramwaj 8.60, kostka masła 19.80, mięso 60 do 80 za kilogram, szynka gotowana 190, buty minimum 400, sweter 150-400, samochód Lada Nova 69000, telewizor kolorowy około 10000, bardzo dobry samochód — ponad 500000, prosek do prania 20 za kilogram, gazeta codzienna 5, tygodnik 20, czynsz za garsonierę (marna) minimum 1000, czynsz za ładne dwupokojowe mieszkanie w bloku 6000 (niezależnie od opłat za energię elektryczną, gaz itd.), litr benzyny 10. Co z tego wyliczania z kolei wynika? Ano, jak mi się wydaje, przynajmniej jedno — że ceny w Polsce od wielu lat były absurdalne. Tę operację, tzn. przebudowę struktury cen, trzeba zrobić jak najszybciej, bo z każdym tygodniem, a nawet dniem jest gorzej. Inny wniosek ze Austriaków żyje się bardziej dostatnio za te same kwoty. Ale, co z cen nie wynika — oni pracują w sposób sensownie i sprawnie zorganizowany. I tę organizację, staranność i sensowność pracy bardzo sobie cenię. Oprócz tego żyjąc w przyjaźni z Sąsiadami mają sprawny ustrój społeczno-polityczny. Na zakończenie jedna informacja — ceny podane powyżej pochodzą z października br.

„Solidarność Uniwersytecka” nr 34
Katowice, 20.X.81

A. PORAWSKI

O PRZYSZŁYM KSZTAŁCIE RAD NARODOWYCH UWAG KILKA

CZY TYLKO WYBORY?

Wobec zbliżającego się terminu upływu kadencji rad narodowych szczebla podstawowego (luty 82) wzrasta zainteresowanie problematyką wyborów i sposobów funkcjonowania organów samorządu terytorialnego. Oczekiwania społeczne w tym zakresie dotyczą w pierwszym rzędzie sformułowania nowej ordynacji wyborczej, dającej obywatelom gwarancje równych możliwości zgłaszania kandydatów, im zaś z kolei prezentowania niezależnych platform wyborczych i równych szans wyjściowych. Podstawowe założenia takiej ordynacji są zawarte w tezie 21 Programu NSZZ „Solidarność”, uchwalonego przez I KZD w Gdańsku. Od pewnego czasu bieżąca zresztą w kilku regionach prace nad szczegółowymi propozycjami dotyczącymi ordynacji i podejmowania konkretnych działań orga-



MPZ nr 7

str. 3

z resortu, lecz obecnie wszystkie te dokumenty zaginęły, a jak wiemy, powinny one leżeć w archiwum conajmniej 10 lat. Z tego wynika, że dr Jan Wróbel odchodząc do Kampinosu zatarł za sobą wszystkie ślady.

Biuro Interwencji
ZR NSZZ „Solidarność”
w Słupsku

„Solidarność Słupska” nr 14. Słupsk, 30.10.81.

M(-)SKI

BEZ HAMULCA

SKRÓCONY SŁOWNIK POLITYCZNY
POLSKO-POLSKI

POBICIE — samookaleczenie
KRYTYKA — podrywanie autorytetu
ZŁOŻENIE LEGITYMACJI — nieodpowiedzialny gest
STEREOTYP — 1956, 1970, 1976, 1980
PROGRAM RZĄDOWY — konstruktywny program wychodzenia z kryzysu
PROGRAM „SOLIDARNOŚCI” — dezorganizacja życia społecznego
LINCZ PSYCHICZNY — rozliczanie winnych błędów i wypaczeń
FELIETON — nieodpowiedzialna napaść
MANIFESTACJA — warcholenie
ROZLICZANIE — onanizm polityczny
KOMPROMIS — gra na przeczekanie
SLOGAN — aktualne hasło
AUTONOMIA — awanturnicze zachcianki
DEMONTAŻ — próba zmiany dotychczasowego status quo
SEJM — chór mieszany
GŁOSOWANIE — wrzucanie kartek
DEMOKRACJA — pełne poparcie
ANARCHIA — pełne poparcie przy czterech głosach wstrzymujących się
MAGMA — błoto
DECENTRALIZACJA — przerzucanie z góry w dół spraw nierozwiązalnych
PRACA SPOŁECZNIE UŻYTECZNA — robienie tego, co dogadza interesom kliki
PLURALIZM — brzydkie słowo
POROZUMIENIE — punkt wyjścia do nieporozumienia

„Solidarność” nr 25. Jastrzębie, 27.X.81

HUMOR WĘGIERSKI

— Co polski kot trzyma w pysku?
— No?
— Kartki na myszy.

„Wiadomości Dnia” nr 44
Wrocław, 10.XI.81.

DIALOG

Dziecko: Mamusiu, co to jest?
Mamusia: to jest sklep.
Dziecko: a co to za ludzie przed tym sklepem?
Mamusia: to kolejki.
Dziecko: a dlaczego tyle kolejek?

Mamusia: ta pierwsza to emeryci, druga to renciści, trzecia to mamusie z bobaskami w brzusku, czwarta to mamusie z bobaskami na rękach, piąta to inwalidzi, szósta to ludzie zwykli, siódma to ci co chcą kupić rano, ósma to ci co chcą kupić po południu, dziewiąta to ci co pracują, dziesiąta to ci co nie pracują, a tych kolejek jest ze czterdzięci, już sama nie wiem kto się w nich mieści...

Dziecko: a co ci ludzie kupią?
Mamusia: nic.
Dziecko: to po co oni wszyscy tak stoją?
Mamusia: po to, żeby każdy miał swoją kolejkę i żeby był ład i porządek.

R.C.
„Solidarność Ziemi Puławskiej” nr 63/71
Puławy, 20.XI.81.

ANDRZEJ MAJEWSKI

DTV PRAWDĘ CI POWIE

11 listopada — przywrócone święto narodowe które dopiero od niedawna a właściwie w tym roku obchodzone jest bardziej oficjalnie. Nie chodzi mi jednak o samą datę. Z czyjej inicjatywy owa data została reaktywowana?

Nie ukrywajmy — z inicjatywy NSZZ „Solidarność”. Specjalnie bardzo uważnie oglądałem 11.XI. Dziennik TV. Zawsze mówi się o obiektywności i rzetelnej informacji prasowej. Hasła te propaguje ponoć DTV. Jako nieprofesjonalista staram się też być podporządkowanym w swoim pisaniu tym wymogom — z jedną różnicą — nie tak, jak to realizowane jest w DTV. Pierwsze wydanie Dziennika o godz. 16³⁰ na temat udziału przedstawicieli „Solidarności” w obchodach święta 11 listopada — NIC! Główne wydanie DTV o godz. 19³⁰ prowadzone przez red. Grzegorza Woźniaka. Wiadomości o złożeniu wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie przez delegację FJN, ZBoWiD, branżowe i autonomiczne związki zawodowe, zakłady pracy. Wiadomości o uroczystych mszach świętych, składaniu kwiatów na grobie Piłsudskiego. O NSZZ „Solidarność” — znowu NIC!

O „Solidarności” owszem było, że gdzieś tam się godzą i dochodzą do porozumienia, znowu w innych regionach kraju strajki. Następnie redaktor Woźniak nawiązując do obecnej kryzysowej sytuacji w kraju przekazał wiadomości o Froncie Porozumienia Narodowego, mówił o „dobrej woli i porozumieniu”. Kpiny czy parodia? (...)

„Biuletyn Informacyjny” nr 34
Z.P.M. H. Cegielski Poznań, 18.XI.81.

ANDRZEJ MAŁACHOWSKI

EDWARD GIEREK MECENASEM NAUKI

Teza

Teraz wszyscy o obywatelu Edwardzie Gierku mówią źle albo jeszcze gorzej. Uważam takie postawienie sprawy za stanowczo zbyt jednostronne. Co by bowiem mówić o Edwardzie G., faktem jest, że mecenasem nauki był jakiegoś ze świecą szukać, o czym świadczy — jak to niżej postaram się udowodnić — nie tylko dysertacja doktorska jego małżonki Stanisławy.

Uzasadnienie

Budowę drugiej Polski ob. Gierek wraz z innymi byłymi towarzyszymi rozpoczął na fundamentach własnych pałaców. Jeden z nich stanął na Brynowie przy ulicy Różyckiego. Nie będę w tym miejscu szczegółowo opisywał jak wyposażony był ów pałac, eufemistycznie segmentem zwany, w którym zamieszkiwał przywódca polskiej klasy robotniczej; uczyniłem to onegdaj na łamach „Życia Literackiego”, więc nie ma potrzeby, abym się powtarzał. Na potrzeby tego felietonu wystarczy, iż powiem, że było tam wszystko, warzywnika nie wyłączając.

Teraz kilka zdań właśnie o tym warzywniku. Robotnik, gdy ma ochotę na pietruszkę, pomidor czy marchewkę, to albo idzie na targ i kupuje te warzywa, albo stara się o przydział ogródka pracowniczego. Gierek Edward miał podobną alternatywę i zdecydował się na wariant drugi. Przedsiębiorstwo Budowlane Przemysłu Węglowego, które zajmowało się stawianiem wili partyjnym prominentom, dostało prikaz, aby przy Różyckiego zbudować komfortowy ogródek pod przykryciem, taki, aby najmniejszy nawet budylnik z Otwocka i okolicy zzielenieli z zazdrości.

BPBW zamówienie wykonało. Przedsięwzięcie kosztowało dokładnie cztery miliony złotych i jeszcze pięćset tysięcy, co uwzględniając, iż było to pięć lat temu, kwotą małą nie było. Aby zatrzeć ślady, forsę tę wkomponowano (ładnie to się nazywa, prawda?) w budującą się akurat Fabrykę Domów.

Kiedy na przełomie listopada i grudnia ubiegłego roku działalności BPBW przyjrzał się inspektorzy NIK, jedną z pierwszych rzeczy, którą zakwestionowali był właśnie ów warzywnik. Uznano, że była to inwestycja nielegalna, co kosztowało przedsiębiorstwo — tytułem kary — 1.200.000 złotych (na tyle doszukano się na szczęście dla firmy, rachunków). 4.500.000 plus 1.200.000 równa się 5.700.000. Tyle właśnie kosztował warzywnik obywatela Gierka (wtedy zresztą jeszcze towarzysza).

Inspektorzy NIK uznali, że warzywnik należy odebrać Gierkowi i przekazać temu, kto wydał nań cały szmal, to jest Przedsiębiorstwu Budownictwa Przemysłu Węglowego. No i BPBW uszczęśliwione zostało ogródkiem warzywnym. Ale było to takie trochę szczęście przez łzy, bo po cholere firmie budowlanej warzywnik? Korzyści żadnej, a jak co, to kartotekę obciąża. BPBW zaczęło więc starania, aby tę żabę podrzucić komu innemu. Najlepiej Urzędowi Miejskiemu. Ale Urząd też bronił się rękoma i nogami przed warzywnikiem. No to zwrócono się do Zarządu Zieleni Miejskiej. Ci też jednak dystansowali się do spadku po Gierku.

BPBW, jakby tych zmartwień było mało, zobligowane zostało do ogrodzenia warzywnika od reszty posesji pana G. Niby czynność to prosta a jednak... Istniała obawa, że lokatorowi pałacu przy ulicy Różyckiego może się faktura parkanu nie podobać, zacinie grymasić i wyjdzie jeszcze na to, że jest prześladowany. Chodzili więc ludzie z BPBW do szefa obstawy obywatela Gierka uzgadniać, jakież to plot ma być. Wreszcie dogadali się jak Polak z Polakiem.

Aby dalej nie było wiadomo, co zrobić z warzywnikiem Ekstremsiści to proponowali wprost — podłożyć dynamit, rąbnąć i po ptokach. No ale ostatecznie nie doszło do tego. Zlitował się Uniwersytet Śląski Wydziału Biologii. Jeden z Instytutów tegoż Wydziału zdecydował się (nieodpłatnie, rzecz jasna) przejąć warzywnik, w którym — uznano — będzie można przeprowadzać eksperymenty naukowe. W ten sposób skromna baza Uniwersytetu wzbogaciła się o nowy obiekt.

Co by nie mówić — właśnie dzięki Edwardowi Gierkowi.

„Solidarność” nr 25. Jastrzębie, 27.X.81.

MAGAZYN PISM

ZWIĄZKOWYCH
I ZAKŁADOWYCH



Z SIEDZIBĄ W KZ PRZY POZNAŃSKICH ZAKŁADACH
GRAFICZNYCH IM. MARCINA KASPRZAKA

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów i skracania tekstów sygnalizowanego znakiem (...).

Numer przygotowali: Piotr CZARTOŁOMNY, Edward GRZEŚKOWIAK, Ewa JASTRUN, Ewa NAWROCKA, Tomasz USAREWICZ.
PZGMK — 1313 81 — 10 000